Nr. 9 (1262). Warszawa, 26 lutego (11 Marca) 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ

Szan. Abonentom przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na II kwartał 1905 r.

POLITYKA

Francya i Kościół.

Rouvier, obejmując spadek po Combes'ie, przejął w nim projekt oddzielenia wyznań religijnych od państwa, głównie od państwowego budżetu, projekt przytem urządzający same wyznanie na zasadzie zwykłych stowarzyszeń, dla których normy przepisało prawo z lipca 1091 roku. Projekt ten, nie przez wszystkich kolegów ministeryalnych poprzedniego prezesa uznawany, nie znalazł też uznania nowych ministrów. Nawet tak radykalny człowiek, jak Bienvenu-Martin dostrzegł w nim pewną surowość i ostrość, nielicującą z powagą rządu, który jako rząd powinien robić tylko rzeczy użyteczne i potrzebne, nie unosząc się ani miłością ku jednym, ani nienawiścią ku innym. Ponieważ sprawę uznano za dobrą i naglącą, poprawiono więc szybko projekt, przyjęto go i wniesiono już we dwa niespełna tygodnie po objęciu władzy do Izby. Izba niecierpliwie już na niego czekała. Nie było też najmniejszej wątpliwości co do zasadniczego przyjęcia, nie było nawet przewidywanych zaciętych sporów w sprawie tak roznamiętniającej umysły, tak głęboko odrąbującej stronnictwa postępowe od zachowawczych i wstecznych. Przewagą 343 głosów nad 189 odesłano projekt po pierwszem odczytaniu do komisyi.

Komisya, zawezwawszy na sprawozdawcę autora najpierwszego, jeszcze datę r. 1902 noszącego projektu, socyalistę Brianda, po odbyciu rozpraw z Martinem i Rouvierem, narzuciła im poprawki, nietykające wszakże fundamentów i wspór budowy, otrzymała projekt poprawiony, roztrząsnęła go jeszcze, ostatecznie zredagowała, przyjęła i złożyła Izbie. Rozprawy w drugiem odczytaniu rozpocząć się mają jeszcze w marcu, nawet za dwa tygodnie, a zgodność dotychczasowych projektów w tem, co w nich stanowi zrąb przyszłej zależności, pozwala przewidywać uchwalenie operatu rządowego—nie bez walki, zapewne, ale za to bez tej dłuższej zwłoki, jakąby pociągnąć za sobą musiały nowe pomysły do utrzymania nadal supremacyi państwa. Typ rozdziału jest zbyt powszechnie a jednakowo urobiony w umysłach tych, którzy go pragną, aby można było oczekiwać jakichś wniosków, rdzennie zmieniających projekt komisyi, jakichś po za wnioskami stojących większości. Jak na punkcie zależności wyznań od rządu przez czujność i dozór, tak w zakresie pojęć o majątku i wyposażeniu przyszłych stowarzyszeń w charakter osób prawnych, panuje w całym obozie postępowym republikańskim i socyalistycznym jedność poglądów. Uchwalenie w niedługim czasie wątpliwości nie ulega, a raz spełnione, dla Kościoła, zwłaszcza katolickiego będzie miało ogromną doniosłość—i czy tylko dla samego Kościoła, czy również i nie dla państwa?

We Francyi nie można wymagać od projektu zasad amerykańskich. Systemat zupełnej wolności, owarunkowanej tylko zależnością od edylatu policyjnego i kodeksów prawczych i kryminalnych, wymagałby najpierw wydania wszystkim wyznaniom ich majątków i instytucyj, jako ich nieograniczonej własności, następnie zapewnienia im doskonałej zdolności osób prawnych, jakiemi na mocy prawa cywilnego mogą być wszelkie stowarzyszenia i korporacye w Ameryce; wreszcie wydałby rządowi kontrolę nad stosunkiem stowarzyszenia do społeczeństwa, oraz hamulec do powstrzymania zbytniego rozwoju. Wszystko to nie zgadzałoby się z wyobrażeniami, jakie Francuz ma o wolności, z żądzą, z jaką potrzebę jej odczuwa, z temperamentem, który go usposabia do absolutyzmu, ideowego przynajmniej, jeśli nie materyalnego. Oczywiście, wyznania protestanckie i żydowskie, mające wraz z katolicyzmem z dobrodziejstw prawa lipcowego korzystać, nie wchodzą prawie w grę wobec jakich 25 milionów, których po miastach i wsiach francuskich doliczyć się można, pomijając już miliony zapisane tylko w księgach stanu cywilnego pod rubryką katolicyzmu, ale rzeczywiście obojętne lub wrogie. Dlatego nowy projekt i nowe niedalekie już prawo głównie dotyczą Kościoła katolickiego i przyszłego ustosunkowania się jego, jako sumy fenomenów, sił i środków wyznaniowych z Rzymem spojonych, z jednej strony do rządu, z drugiej do społeczeństwa francuskiego.

Według projektu właścicielem istniejących już przed konkordatem 1801 r. gmachów wyznaniowych jest gmina lub państwo. Majątek powstały z uposażeń państwowych, późniejszych, wraca do państwa; majątek należący do zakładów dobroczynnych dostaje się instytucyom pokrewnym ogólnym. Rząd wydzierżawia gmachy (kościoły i budynki mieszkalne) przyszłym stowarzyszeniom wyznaniowym na 10-letnie okresy. Stowarzyszenia mogące nabywać i posiadać nie sięgają po za obręb 10-departamentów, a jednostką normalną, elementem zespolenia w tych największych już rozmiarac,

jest gmina. Z nią też będzie miał rząd najczęstsze i najistotniejsze zetknięcie. Ciężary dobrowolne, jakie stowarzyszenie nakładać ma prawo na swych członków nie mogą przenosić rocznego wydatku, obliczonego z ostatniego 5-lecia. Sam nawet rzeczywisty dochód ulega zmniejszeniu do tej normy. Wolno wszakże kapitalizować fundusze na budowę i kupno kościołów, byle w kasach państwa. Policya religijna przepisuje karę 500—3000 fr. lub więzienie od miesiąca do roku za zobelżenie urzędnika, a opór rządowi i wzywanie do buntu karze więzieniem od 3 miesięcy do 2 lat. Przetrzymywanie gwałtem w gminie religijnej obłożone jest karą 16—200 fr. i więzieniem od 6 dni do dwu miesięcy; ale i nacisk z zewnątrz gminy tak samo jest karany. — W kościołach nie wolno odbywać zebrań politycznych. Na procesye pozwala gmina ogólna, administracyjna.

Ponieważ dotychczas rząd utrzymywał księży parafialnych, a odtąd powraca ich samym sobie, wypadało zatem prawa nabyte do pensyi wynagrodzić emeryturą, która za lat 30 wynosi ³/₄, za 20—½ pensyi; niżej stojący otrzymują prze połowę czasu, którzy przesłużyli przy kościele, 400 fr. rocznie. Wogóle na emerytury dla katolików rząd przeznacza 22 miliony franków, co na budżecie dotychczasowym daje mu prawie 13 mil. oszczędności.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pod Mukdenem rozpaliła się wielka bitwa, przypominająca laojańską. Wiadomości o niej z obu obozów nie sięgają poza wypadki z d. 5 b. m., a jak skąpemi, dorywczemi są ze strony japońskiej, tak znowu zmąconemi z rosyjskiej. To tylko z obustronnych doniesień wnieść potrzeba, że d. 23—4 z. m. Japończycy wprowadzać zaczęli w wykonanie plan polegający na wysunięciu obu ramion swoich, zachodniego i wschodniego, znacznie ku północy dla objęcia niemi Mukdenu; że łatwiejsze zadanie na początek mieli na zachodzie, gdzie i zjawili się naglej, i natarli gwałtowniej na przeciwnika słabszego, bo zaskoczonego, i nie napotkali wreszcie tych przeszkód, jakie stawiały Kurokiemu góry i przesmyki górskie po drugim, rosyjskim, brzegu Sza-ho; i że nakoniec po dziesięciu dniach walk, szczególnie na zachodzie zaciętych, to nowe zmierzenie się dwu zapaśników nie wyszło ze stanu uniemożliwiającego wróżby bądź na jedną, bądź na drugą stronę. Takie śmiałe a niewolne od niebezpieczeństwa ruchy, jakich teraz dokonali Japończycy na zachodzie, przerzucając się za Hun-ho, w zasadzie dla niezawodnego powodzenia mają tylko czas krótki: przeciwko nagle wytworzonemu frontowi jednej strony druga ustawia swój, a niemożność obejścia siłami większemi bez boju, jak było w tym wypadku, niepozwala też i na większe, szybkie korzyści.

Odziały jazdy japońskiej mogły się pokazać nawet o 6 i pół klm. od Mukdenu, pociski mogły pękać pod samem miastem, jakaś wieś o 10 lub 15 klm. od niego odległa mogła się znaleźć w mocy Japończyków — o czem wszystkiem donosi Agencya Reutera; ale z tego wszystkiego nie wynika jeszcze strategiczne usadowienie się Japończyków od zachodu, które dopiero wtedy, gdyby się rzeczywiście spełniło, miałoby znaczenie rozstrzygające. Zajęcie Czantanu nad Hun-ho, niedaleko od Hekou-koa-tai i San-tepu, nie wystarcza na podstawę pewną dla sił oderwanych ku północy za rzeką, dla utrzymania czucia ze środkiem — który z początku tylko masą swoją cięży na środku rosyjskim, ale potem wystąpić powinien już, jako siła współczynna, zwłaszcza z nagle rozwiniętym ku północy skrzydłem zachodniem współdziałająca — niezbędne jest zajęcie kilku punktów na kolei, jak np. Hun-szan-pu i Su-ja-tun, nad samą rzeką, a przedewszystkiem nadzwyczaj ważnego z powodu samego położenia Mo-dża (czadia)-pu, wreszcie zupełne panowanie poniżej w międzyrzeczu Sza-ho, Hun-ho i Tai-tsi-ho. To wszystko jeszcze do d. 5 b. m. wieczorem nie było dokonanem: nie można więc w tej chwili przewidzieć, w jakim stosunku znajdzie się rzeczywistość do planów japońskich na zachodzie. Na wschodzie, po nadzwyczaj uporczywych bojach o wąwozy — przedpiersia i krawędzie górne wąwozów, walka ogniskuje się pod „Fuszanem“ jak chce telegraf, ale prawdziwszym chyba tu będzie „Fan-szyng“ znacznie niżej, nad rzeczką wpadającą do górnej Hun-ho, na wschód od Mukdenu.

W każdym razie z nazw miejscowości wymienianych, zwłaszcza na prawem skrzydle japońskiem, widać, że się ono posunęło nieco ku północy i wschodowi, a doniesienia o uporczywem przez Japończyków bombardowaniu wzgórzy Putiłowskiego i Nowogrodzkiego nad Sza-ho wskazują, że zamiarem już przez środek gen. Oku i Nodzu powziętym, jest również wystąpienie naprzód, nietylko dla przytrzymania sił rosyjskich, ale i dla rzeczywistych strategicznych korzyści. W ciągu tygodnia walka niezawodnie się rozstrzygnie.

Trzecia eskadra baltycka opłynęła już zachodnią Hiszpanię, vice-admirał Birylew pracuje nad wyprawieniem czwartej. Kap. Kłado, główny świadek rosyjski w komisyi dyplomatycznej, domaga się uruchomienia floty czarnomorskiej, nie licząc się już z Anglią, ale też i nic nie mówiąc o wojnie, któraby znowu wystąpić musiała na widnokrąg, gdyby polityka usłuchała głosu kapitana. Doniesienia kupieckie z pierwszych dni marca ukazują flotę japońską o 160 mil morskich od Hong-Kongu na południe: zatem Togo płynie ku wyspom Sundzkim, jeżeli nie na sam Ocean Indyjski. O adm. Rożestwienskim nic nie słychać.

Projekt oddzielenia kościoła od państwa przyjść ma jeszcze w marcu pod obrady Izby deputowanych. D. 28 z. m. Izba zatwierdziła, ze zmianami nieznacznemi, ułożony przez nowego ministra marynarki Thomsona na lat 12 plan budowy statków wojennych. Do francuzkiego Kongo, gdzie dzikimi są Francuzi, a ofiarami cywilizacyi europejskiej dzicy, wyjeżdża odkrywca Savorgnan-Brazza na śledztwo. D. 4 b. m. Izba uchwaliła budżet wojsk.

Komisya sejmu cesarstwa mimo całej wymowy ministra Einema odrzuciła projekt pomnożenia jazdy; piechotę pomnożyć pozwala. Niemcom osiadł wielki krążownik „Meklenburg“ na mieliźnie. Cesarz Wilhelm wybiera się w wielką podróż na południe.

W Austryi przesilenie węgierskie trwa. Po misyi Andrassego — porada Tiszy wzbogaci umysł monarchy całą seryą narad aż z 16-u mężami stanu z opozycyi. Justh i Banffy już przeszli przez gabinet cesarski; pierwszy z nich, prezes Izby poselskiej powtórzył to, co powiedział był i cesarzowi i wyborcom węgierskim i korrespondentowi wiedeńskiego *Zeit'u* Kossuth: unia osobista i wojsko węgierskie. Od wojska nie obroni się ani Przedlitawia, ani Franciszek Józef lub jego następca. I liberalni nawet Węgrzyni przejdą na wiarę Koszutowską: im później, tem gorzej.

Między Norwegią a Szwecyą unia zachwiana: nietylko już własnych konsulatów, ale własnych od Szwecyi niezależnych rządów domagają się Norwegowie.

We Włoszech Giolitti podał się do dymisyi—z powodu strajku na kolejach, które państwo miało objąć, a na objętych zaraz strajków wszelkich zabronić. Następcą Fortis, albo Marcora, prezes Izby deput.

L. Andrejew.

„Niema przebaczenia.“

Opowiadanie.

Kursistka. Młodziutka, taka młodziutka, zupełny jeszcze dzieciak. Nos ma gładny, cienki, choć jeszcze nieustalonego kształtu: niby z garbkiem, niby trochę zadarty. Usteczka też dziecinne, pulchne, zalatuje, rzekłbyś, od nich, zapach czekoladek i różanych karmelków. A jakie bogactwo włosów! wspaniałą miękką falą otaczają jej główkę, nasuwając myśl o wszystkiem, co miłe, jasne na ziemi: o złotym poranku na błękitnem morzu, o skowronkach wiosennych, o konwalii i o bzie pachnącym. Niebo bez chmurki i bez, olbrzymie, nieskończone krzaki bzu, a nad niemi skowronki! Albo też taki obraz: gdy w majowe południe przechodzimy pod kwitnącą jabłonią, lecą z niej biało-różowe płatki i miękko opadają na nasze ramiona, na kapelusz, na czarne rękawy — biało-różowe, delikatne płatki.

Oczy miała młode, błyszczące, naiwnie nieustraszone, i dopiero po bliższem przyjrzeniu się można było zauważyć na twarzy lekkie ślady znużenia, niedojadania, późnych wieczorów bezsennych, spędzonych na rozmowach w ciasnych pokoikach, wśród dymu papierosów. Może i łzy spływały po tej twarzy, łzy gorzkie, niedziecinne, może i ruchy jej były nieraz pełne powstrzymywanej trwogi — w tej chwili jednak twarz miała wesołą, prawie uśmiechniętą, nogą zaś, w małym zabłoconym kaloszu, wybijała takt, jakby chciała przyspieszyć bieg tramwaju.

Wszystko to zauważył spostrzegawczy Mitrofan Wasilewicz Kryłow, nim tramwaj przebiegł pół stacyi. Stał naprzeciw niej na platformie i, w braku innego zajęcia, przyglądał się dziewczynie wrogo i z niesmakiem, jak dobrze sobie znanej, prostej formułce algebraicznej, wypisanej kredą na czarnej tablicy i upornie rzucającej się w oczy. Na razie zrobiło mu się wesoło, jak każdemu patrzącemu na nią, lecz trwało to krótko. Były ku temu powody. Wracał właśnie ze swego gimnazyum po piątej lekcyi, czuł się zmęczony i bardzo głodny, tramwaj zaś tak był przepełniony, że nie miał gdzie usiąść dla przeczytania gazety. Przytem czas był okropny, jak zwykle w listopadzie, miasto mu zbrzydło strasznie, i całe życie wydało się tak nudnem i nic niewartem, jak ten bilet tramwajowy z oderwanym rogiem. Z domu do gimnazyum i z powrotem wszystkie dni można zliczyć na biletach tramwajach, życie zaś całe przypomina kłębek, z którego brudne palce wyciągają papierową wstęgę i, niby bilet po bilecie, odrywają dzień po dniu. Wkrótce znudził go widok tej dziewczyny, patrzył jednak, nie mając gdzie zwrócić oczu.

„Świeżo z prowincyi,“ krytykował w duchu, „i ki dyabeł je tu niesie? co do mnie, uciekłbym z przyjemnością choćby do Czuchłomy. I naturalnie wszczyna zaraz dysputy, wygłasza swe przekonania, a nie umie

ŻYCIE SPOŁECZNE

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Refleksye z powodu wypadków ostatnich na prowincyi. — Prowincya i Warszawa podczas strajku powszechnego. — Ożywienie na wsi. — Legendy i rzeczywistość. — Sprawy gminne.

Wyobraźmy sobie—pisze *Kur. Sosnowiecki*—długie pasmo dni szarych, dni monotonnych, które stanowią przędzę życiową olbrzymiej większości biednych pracowników. Płynie dzień po dniu, upływa życie na podobieństwo piasku w klepsydrze i tylko rachuba czasu oznajmia, że minął już poranek lat wiosennych, mija południe pełnego sił rozkwitu, że zbliża się noc czarna, ta przerażająca noc wiecznej niepamięci, noc śmierci... Czasami jęk ze zgniecionych piersi wybucha i rozrywa duszne milczenie, czasami padnie ktoś — tłumy przechodzą po nim i wgniatają szczątki człowiecze w muł potem zroszony... Są jednak chwile, gdy ta szarzyzna, ta cisza mogilna życia pracownika, smętnego i jednostajnego, jak dzień jesieni naszej, zaczyna mienić się dziwnemi barwami, ukryte wewnątrz siły nieznane zaczynają działać. Życie, to życie tak płytkie, tak nieskomplikowane pozornie, a jednak tak wszechstronne, pełne rozmachu i siły, burzy się, prąd jego prze naprzód, pieni się, szumi, potok wzbiera, i niema na świecie takiej broni, coby go wstrzymała. Cała ta chęć życia, życia pełną piersią, chęć w imię której zarówno maleńka biedronka wije się na szpilce, jak i olbrzym człowiek stacza straszliwe boje, ten swój epos odwieczny, ta chęć i żądza wyrywa się nazewnątrz, ogarnia tłumy, ogół i tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi, do niedawna cichych, zahukanych, znoszących pokornie swą dolę, wstają, skazują się na głód, na cierpienia, na tę niespodziewaną a nagłą śmierć, od której ochrony błagają zwykle w innym czasie, powstają, całe masy przebiega jeden okrzyk wielki, jak te masy i jak one potężny: „Żyć, żyć, powietrza więcej, więcej światła, więcej przestrzeni i chleba więcej!"

Świadkiem takiego potężnego, odruchowego niemal wystąpienia mas był niedawno kraj cały. Zamilkł głuchy wark maszyn, zamarł stuk młotów, nagle ucichły gwizdki fabryczne w naszych ośrodkach przemysłowych, stanęła praca w warsztatach mniejszych we wszystkich niemal zakątkach prowincyi. Ta szarzyzna potem uznojona, przypomniała się światu zarówno w pięknej Warszawie, bogatej Łodzi i wiecznie nienasyconym Zagłębiu, jak i w różnych Drzewicach i Borowiczkach, wszędzie czytaliśmy o niesłychanie, nigdy przedtem u nas niebywałym, poważnym przebiegu strajku. Spokój panował wszędzie niemal wzorowy. W Łodzi, jak stwierdza organ urzędowy, liczba rozbojów i kradzieży w czasie strajku zmniejszyła się znacznie, choć jak widać z kroniki *Rozwoju* i *Gońca Łódzkiego* cyfra mrących na ulicy z głodu zwiększyła się w dwójnasób. W Sosnowcu i całym zagłębiu rozbojów i kradzieży według miejscowego organu nie było, i tak wszędzie i wszędzie, na całej przestrzeni rozległej prowincyi...

Masy pracujące mówiły o tem, że są głodne, o tem że im żyć trzeba po ludzku, o tem, że jednak musi być pewien kres ich niedoli, lecz mówiły z godnością, nakazującą szacunek i z jakąś dziwną, rozdzierającą serce powagą smutku i — bólu odwiecznego.

Wobec tej strasznej tragedyi dziejowej, na jaką patrzyliśmy niedawno, tej mowy dobitnej choć ciebej i pozbawionej patosu deklamacyi, upadły wszystkie inne niemal sprawy ogólne.

Gazety nasze pełne były sprawozdań i artykułów, tyczących się ogólnej zmowy, i choć nie mogły wypowiedzieć się szczerze i otwarcie, jednak znać było, że mimo wszystko, dokładnie sobie zdawały sprawę z ważności chwili, w której przemówiła ta nasza czarniawa ludowa.

I rzecz dziwna jednak—ta prowincya, skazana na jakiś anachoretyzm umysłowy, na żywienie się odpadkami z życia mózgowego i domowego Warszawy, ta prowincya znalazła się w jednym szeregu, a nawet pod wieloma względami przed swą mistrzynią. Marnieli długie lata w „bagnie" prowincyonalnem, w odmętach nudy i filisterstwa różnych Obrzydłówków, wszelcy gorący dawniej społecznicy - ideowcy, a ot masa, szara ciemna masa, którą niegdyś w marzeniach i mirażach na studenckich czwartakach podnoszono na nieznane przedtem wyżyny—okazała się wszędzie jednako silna, jednako czująca i myśląca. Wśród niej nie było zmarnowanych geniuszów—byli ludzie, co czują i chcą mówić o sobie.

Wogóle wśród naszych mas ludowych prasa prowincyonalna zaznacza znaczne ożywienie i zainteresowanie się wszystkiem, co się dzieje na świecie. Mamy czas do rozważań i rozmyślań—piszą *Echa Płockie*—boć jeszcze pierwiosnek nie wysunął główki i przecieramy już oczy, bo słońce coraz natarczywiej zagląda do chat nizkich, zwiastując budzenie się przyrody, a z nią i nas zimowym snem uśpionych. Więc wioska, ta zapadła, apatyczna nasza wieś, rozważa, rozumuje, nawet dyskutuje—i dwór, który ma sposobność otrzymywać wiadomości z pisma warszawskiego, i chłop, który czerpie nowiny od żydka, przyjeżdżającego do wioski kupować gałgany. I rozmyśla wioska o tem, że i ją dotyka ten wir czasów, które obecnie przeżywamy, wysłuchuje z ciekawością listów, przesłanych zkądciś, zdaleka, z jakiejś Mutsujamy zamorskiej; dusza wsłuchuje się w odgłosy strasznej walki w śniegach Mandżuryi nieznanej; z tych listów, z opowiadań żydków nowiniarzy stopniowo tworzą się legendy, idące z ust do ust i szybko obiegające wsie całe.

Ale nietylko legendami zajmują się ludzie. I znowu wieś „rajcuje", ludzie zbierają się opowiadają sobie, co mówił na zebraniu wójt, co naczelnik, komisarz, a co pełnomocnicy i gospodarze.

A „rajcować" gminiacy muszą energicznie: dużo chwastu narosło na glebie wiejskiej, chwastu, który z korzeniem wyrwać trzeba, bo zły on, szkodliwy i całą młodą roślinność zdrową zagłuszy. Oto kilka przykładów, o których *Zorza* nam pisze:

W gminie godowskiej, gdy pełnomocnicy chcieli porządnie sprawdzić rachunki gminne, wójt nie dał książek, motywując krótko i wyraźnie:

Ja tam nie pozwolę nikomu gmerać po książkach. Z projektem zaś zmniejszenia wydatków energiczny wójt załatwił się jeszcze krócej, oświadczywszy, że wydatków zmniejszać niewolno. Pisarz znowu, gdy pod obrady wiecu gminnego poszedł projekt ograniczenia jego dochodów, oburzony zawołał: A wam co do tego? wara wam do mnie!

W Chodlu pisarz wszelkie wydatki załatwia sam, nie oglądając się na uchwały gminne. W Markuszowie za niepodpisanie uchwały, sfalszowanej przez pisarza, wszyscy uczestnicy zostali obłożeni grzywną po rublu. W Bełżycach siedmiu uczestników zebrania gminnego, na którem uchwalono zmniejszenie wygórowanych wydatków na potrzeby kancelaryjne i przeznaczenie pewnej sumy na prenumeratę „Zorzy" i „Gazety Świątecznej", zostało skazanych na 10 rubli kary.

A faktów takich „Zorza" przytacza mnóstwo.

Bolączkę spraw gminnych—pisarzy gminnych *„z urzędu"* poruszył i *Tydzień* piotrkowski, dając głos różnym autorom, tak że podczas gdy jeden pisze: „czytelnik, znający bliżej gminę i cokolwiek wtajemniczony w łapówki pisarza gminnego, nigdy nie

---

podszyć tasiemki u sukni. Albo to jej w głowie! A na domiar złego taka śliczna bestyjka!

Dziewczę zauważyło jego ukośne spojrzenie i zmieszało się, zmieszało bardziej, niżby wypadało; z oczu znikł uśmiech, na młodziutkiej twarzyczce zjawił się wyraz dziecięcego przestrachu, lewa ręka mimowoli podniosła się ku górze i zatrzymała na piersiach, coś tam przytrzymując.

„Oho!" zdziwił się Mitrofan Wasilewicz, odwracając wzrok i robiąc obojętną, nauczycielską minę. „Przestraszyły ją widocznie moje niebieskie okulary, myśli, żem szpicel. Tam, pod żakietem, musi mieć jakąś bibułę. Dawniej nosiła na piersiach listy miłosne, a teraz jakieś tam biuletyny. Co za głupia nazwa: biuletyny!"

Znowu z pod oka spojrzał na sąsiadkę, żeby się utwierdzić w swem podejrzeniu, lecz natychmiast wzrok odwrócił: kursistka patrzyła nań szeroko otwartemi oczyma, jak zaklęta, przyciskając z całej siły ramię do lewego boku. Kryłow się rozgniewał.

„A to głupia! Ze mam niebieskie okulary na nosie, więc koniecznie muszę być szpiclem! Nie rozumie, że człeka mogą oczy boleć od pracy. I co za naiwność, cała jak na dłoni: chodźcie i weźcie. A biorą się niby do dzieła, ojczyznę chcą zbawiać. Smoczek ci dać, a nie ojczyznę. Nie dojrzeliśmy jeszcze do tego. Lassalle np., oto mi głowa! A to jakiś tam pędrak! Równania o dwu niewiadomych rozwiązać nie potrafi, a rozprawia o polityce, finansach, do bibuły się bierze. Wartoby cię nastraszyć należycie, wiedziałabyś wówczas, jak postępować.

I nagle przyszedł mu do głowy pomysł, spłynęło nań natchnienie z ciemnego, listopadowego nieba, z brudnego bruku ulicy i z jego własnego, głodnego żołądka. Szczególnym ruchem wciągnąwszy głowę w ramiona, nadał swej twarzy ten chytry i wstrętny wyraz, jaki, zdaniem jego, mieć musi prawdziwy szpieg, i rzucił na kursistkę tak skośne spojrzenie, że o mało sobie oczu nie przekręcił. I dopiął celu: dziewczę drgnęło, dreszcz strachu wstrząsnął nieznacznie jej ciałem, oczy zabiegały niespokojnie.

— Tak, tak, tak właśnie, a niema dokąd uciec! — tłomaczył sobie jej ruchy Mitrofan Wasilewicz. — Poskacz, poskacz trochę, gołąbko, a dolejemy jeszcze oliwy do ognia!

Zapalał się coraz bardziej, zapominając o pustym żołądku, o złej pogodzie i dumny z pomysłu, tak świetnie grał swą rolę, jak gdyby był aktorem lub rzeczywistym agentem tajnej policyi. Ciało jego wyprężało się wężowymi skręty, oczy miały wyraz zdradziecki, a prawa ręka, wsunięta do kieszeni, ściskała bilet tramwojowy, niby rewolwer o sześciu nabojach lub książeczkę agenta. Już nietylko kursistka, ale i inni zaczęli nań zwracać uwagę: otyły, rudy kupiec, zajmujący swą osobą trzecią część platformy, skurczył się dziwnie, jakby schudł raptownie i odwrócił się; wysoki człowiek w fartuchu na jesiennym paltocie zamrugał swemi króliczemi oczyma, spojrzawszy na Mitrofana Wasilewicza i, trąciwszy raptownie kursistkę, zeskoczył z tramwaju i zaczął się kręcić wśród powozów.

„Doskonale!" pochwalił siebie Mitrofan Wasilewicz, ciesząc się skrycie złośliwą radością ludzi żółciowych. Było coś pory

uwierzy" inny znów wręcz powiada: „Pisarze gminni—kategorya ludzi najgorszych—(są wyjątki) zwykle łapownicy, zabawiają się najczęściej w szpiegostwo, pokątne doradztwo i t. d.

Według też *Tygodnia* skargi na pisarzy płyną rzeką, lecz napróżno, pisarz o skargach wie przez stosunki i paraliżuje je denuncyacyami, szykanami i t. d. Powiat milczy. Dla osobistego przedstawienia kwestyi za wysokie to progi dla chłopa-gminiaka, a apelacya zawsze bezowocna ze względów proceduralnych.

To też, jak zaznacza *Tydzień*, szerzy się niezadowolenie z porządków gminnych: „Po co nas tu zwołują—słychać często—po co od robót odrywają? Co uchwalimy—zmienione, co oskarżymy — to bez odpowiedzi".

Ale też za to, jak twierdzą *Rozwój* i *Gazeta Świąteczna*, pisarze mają święte życie. W okolicach Łodzi np. pisarze gminni po kilku latach urzędowania kupują domy i osiadają w mieście, aby żyć bez troski.

Prócz tego warto zaznaczyć, że według cyfr urzędowych wydatki na cele oświaty i dobroczynności na jednego mieszkańca wynoszą: w Lublinie 13 kop., w Piotrkowie 16, Częstochowie 19, w Łodzi 8 kop., w Zgierzu 2 kop. rocznie.

J. Dąbrowski.

Szkła fałszywe.

Znaną powszechnie jest zasada ekonomiczna, że wszelka produkcya powinna być regulowaną przez prawa popytu i podaży. Tą zasadą oddawna kierują się wszyscy, przygotowujący towar na zbyt. Przeprowadzenie jej stanowi o pomyślnym rozwoju zakładów fabrycznych, gospodarstw rolnych i warsztatów rzemieślniczych. Wszelka nadprodukcya wywołuje kryzys, a co za tem idzie bankructwa pojedynczych jednostek i bogactwa krajowego.

Znajomość tej zasady nie ochrania jednak naszego społeczeństwa od błędów, powtarzających się na każdym kroku.

Na jakim bądź polu udana operacya wywołuje natychmiastowe, masowe naśladownictwo, bez względu na potrzeby rynku. Przyczyną tego lenistwo naszej myśli: zamiast szukać nowych źródeł bogactwa, każdy chce korzystać z dorobku cudzej myśli i wyzyskać go dla swych celów, choćby ze szkodą wynalazcy.

Ten owczy instynkt naszego społeczeństwa uwidocznił się najwyraźniej w dziedzinie wychowania młodego pokolenia. Był czas kiedyśmy mieli zamało zdolnych prawników, lekarzy, inżynierów, profesorów, nauczycieli itp., ale czas ten już minął i dziś, oprócz lekarzy, którzy mają do zdobycia ważne placówki śród nieleczącej się ludności włościańskiej, placówki, wymagającej zaparcia się siebie i świadomego poświęcenia dla dobra ogółu, na innych polach mamy szkodliwą nadprodukcyę, ujawniającą się w wylewie młodych sił po za granice naszego ogółu, ze szkodą dla blizkich i małym pożytkiem dla siebie. Nadprodukcya w tym kierunku jest tak wielka, że nagromadzonym towarem społeczeństwo może obywać się długie lata.

Historya starożytna i średniowieczna uczy, że marzeniem narodów było wychowywać bohaterów; u nas nadprodukcya w tym kierunku wywołała kryzys, który uwydatnił się w reakcyjnem dążeniu do hodowli ludzi-buldogów, obdarzonych jak najsilniejszemi szczękami, tak koniecznemi w walce o zdobycie najlepszego kąska. Pozostawiając krytykę tego kierunku szkole etycznej, muszę wskazać fałszywe zasady nowego prądu w naszem społeczeństwie.

Na setki skończonych prawników, inżynierów, lekarzy, pedagogów zaledwie jednostki, zdobywają stanowiska odpowiednie marzeniom ich hodowców: reszta wskutek nadprodukcyi tego typu, marnieje w warunkach nieodpowiednich swym zdolnościom i zdobytej wiedzy. Jeżeli zatem hodowla buldogów jest u nas nieodzowna, jeżeli odpowiada potrzebom chwili, należy w każdym razie liczyć się z rynkiem zbytu i dostarczać towaru, jakiego ten rynek wymaga. Historya kolonii uczy nas, że największy procent dają te gałęzie przemysłu i rolnictwa, które w danem społeczeństwie są najmniej znane i najmniej wyzyskane. Dziki krajowiec Afryki lub Australii złotem płaci za paciorki, lusterka, proch i wódkę; Europejczyk oddaje to samo złoto za przywożone zdaleka perły i kość słoniową. Okręgi przemysłowe dają zarobki pośrednikom w handlu produktami rolnymi. Okręgi rolnicze podtrzymują odległe fabryki zakupem potrzebnych im wyrobów. Chcąc określić do jakiej pracy należy zaprawiać młode pokolenia, winniśmy przedewszystkiem poznać, jakiego rodzaju pracowników potrzebuje dane społeczeństwo.

Kraj nasz, oddawna rolniczy, przerodził się w przemysłowy nietyle drogą naturalnej ewolucyi, co sztucznego pielęgnowania przemysłu fabrycznego, w którym rej wodzili i wodzą, ludzie obcy i kapitały zagraniczne. Dobrze byłoby wyprzeć i jednych i drugich, ale na to potrzeba czasu, a nasi hodowcy nie mogą czekać, oni muszą mieć odpowiedni kawał mięsa przed oczyma. Otóż na to, żeby zobaczyć ten kawał mięsa trzeba wyjąć szkła fałszywe z okularów i włożyć na to miejsce dobre, choćby zwyczajne szkło szybowe, przejrzeć trochę statystyki, obznajmić się z położeniem ekonomicznem i geograficznem tego kawałka ziemi, na którym się mieszka.

Przez to zwyczajne szkło zobaczymy, że ziemię mamy w znacznej części urodzajną, że możemy otrzymywać z niej dochody dziesięćkroć większe od dzisiejszych, jeżeli zapoznamy się ze sposobami uprawy i eksploatacyi, jakich używa zagranica; że zamiast sprowadzać za 23 miliony zboża, za 27,5 milionów wełny, za milion blizko lnu, za 4 miliony nierogacizny, przeszło za pół miliona mleczywa, blizko za 3 mil. ryb i za 2 mil. ogrodowizn, moglibyśmy nietylko zostawić te pieniądze u siebie, doprowadziwszy produkcyę rolną do odpowiedniego stanu, ale nadto moglibyśmy zarabiać dziesiątki i setki milionów. Do tego żeby te setki milionów zdobyć potrzeba nam ludzi z odpowiednią wiedzą, a więc nie doktorów, nie prawników, nauczycieli, profesorów, którzy muszą marnować swą naukę i zdolności na lichych posadach i korepetycyach, nie inżynierów, budowniczych, którzy nie mają co budować, ale agronomów, ogrodników, ichtyologów, inżynierów rolnych, znawców zootechniki i innych gałęzi przemysłu rolnego.

Wszak kraj nasz, tak bogaty w jeziora, mógłby, przy odpowiednim systemie hodowli ryb i eksploatacyi, zarabiać miliony na tym towarze, a tymczasem nietylko nie zarabia, ale traci z powodu nieumiejętności wyzyskania tych bogactw. Pomimo że zboże nasze nie wytrzymuje konkurencyi z zamorskiem, my dalej siejemy a nawet powiększamy obszary pod zasiew pszenicy i sprowadzamy ogrodowizn i owoców za 2 miliony blizko rubli. I tak wszędzie i na każdym kroku, śniedziejemy w rutynie, bo lenistwo nie pozwala nam oryentować się w potrzebach chwili, wydzieramy chleb współtowarzyszom, mogąc go tworzyć dla nich i dla siebie. Fałsz naszych szkieł idzie jeszcze dalej. Kiedym zachęcał jednego z młodych ludzi do ogrodnictwa dał mi odpowiedź bardzo charakterystyczną: „tak, będę ogrodnikiem i będę przyjmowany w przedpokojach inteligencyi." Ogół nasz tak przywykł do nieinteligencyi pewnych fachów, że nie może sobie ich przedstawić w odmiennych warunkach. A jednak gdyby ten sam ogół uprzytomnił sobie z historyi położenie, jakie w dawniejszem społeczeństwie zajmowali weterynarze, lekarze, adwokaci i wogóle urzędnicy, łatwo doszedłby do przekonania, że marzone przez nich urzędy były kiedyś w większej pogardzie u ogółu,

---

wającego i przyjemnie zatrważającego w tem zaparciu się swej osobistości, przyjęciu na siebie tak wstrętnej roli i budzeniu w ludziach strachu i nienawiści. Wśród szarzyzny codziennego życia zamajaczyły przed nim jakieś ciemne, straszne otchłanie, pełne niedomówień i błądzących bez szelestu cieni. Przypomniał sobie klasę, twarze uczniów, które mu tak zbrzydły, ich brudne, powalane atramentem, niebieskie zeszyty, pełne idyotycznych błędów, które robią życie tak nudnem i zabijają zamiłowanie do matematyki. Pomyślał przeto:

„Zajęcie szpiega musi być jednak bardzo zajmujące. Przecie to rzecz ryzykowna. Oho, i jak jeszcze! Ktoś opowiadał nawet, że raz zabili jakiegoś szpiega. Zarznęli go, jak wieprza".

Strach go ogarnął na chwilę, chciał się już pozbyć swej roli, lecz skóra nauczycielska, do której trzeba było powrócić, była tak nieznośnie nudna i głodna, że tylko machnął ręką w myśli, splunął nawet i przybrał najwstrętniejszy wyraz twarzy, na jaki się tylko mógł zdobyć. Kursistka nie patrzyła już na niego, cała jej postać, zaróżowiony koniuszek ucha, wyglądający z pod wijących się włosów, lekko pochylone naprzód ciało i silnie, choć powoli, pracująca pierś, wyrażały straszne napięcie i świdrującą w mózgu myśl o ucieczce. O skrzydłach musiała marzyć w tej chwili, o skrzydłach! Parę razy przestąpiła, wahająco, z nogi na nogę, położyła rękę na baryerze i zlekka zwróciła głowę ku swemu prześladowcy, uczuwszy jednak na swej zarumienionej twarzy jego wzrok świdrujący, zdrętwiała. Ręka jej, w czarnej rękawiczce, rozdartej na średnim palcu, pozostała na baryerze i zlekka drżała. Wstyd ją ogarnął, że wszyscy widzą jej rozdartą rękawiczkę i wysunięty palec, biedny nieśmiały paluszek, lecz nie miała siły usunąć ręki.

"Aha!" rozmyślał tymczasem Mitrofan Wasilewicz, „widzisz, nie masz dokąd uciec! Oto nauka na przyszłość, będziesz ogledniejszą w takich sprawach. A to wybrałaś się, jak na bal, chcesz mieć same przyjemności, o nie, braciszku, poskacz teraz, tak!"

Wyobraził sobie życie prześladowanego dziewczęcia; było ono tak zajmujące, pełne i urozmaicone, jak życie szpiega. Lecz posiadało też coś jeszcze, czego brakowało tamtemu; dumę obrażającą, a także zupełną harmonię pomiędzy tajemną walką, nagłem przerażeniem i nagłą, mężną radością. Jest ścigana, a czyż w tem nie ma palącej radości, gdy złośliwe, drapieżne ręce wroga wyciągają się ku nam? Jak serce bije w takiej chwili, jak pięknem jest życie i jak się chce żyć!

(C. d. n.).

Przeł. J. Piekarska.



niż dzisiejsze najlichsze fachy; że drogą ewolucyi, drogą osobistej pracy i zasługi jednostek każdy fach zdobywa sobie stanowisko odpowiednie jego wartości i roli w społeczeństwie. Nadeszła pora abyśmy przestali patrzeć przez szkła, a zaczęli oryentować się w dzisiejszych trudnych warunkach za pomocą własnych oczu lub szkieł, wskazanych przez naukę i wiedzę.

St. Staniszewski.

Z ewolucyi politycznej

GÓRNEGO ŚLĄSKA.

Unieważnienie mandatu p. Korfantego przez komisyę rugów w parlamencie niemieckim znowu uczyniło aktualną sprawę reprezentacyi Górnego Śląska w sejmie rzeszy niemieckiej. Chodzi już nietyle o osobę, ile o kwestyę zasadniczą, jak się w dalszym ciągu ułożą stosunki międzypartyjne i międzynarodowe w tej prowincyi.

Od czasu wyborów głównych przed dwoma laty położenie na Górnym Śląsku zmieniło się dość znacznie. Jeśli sobie przypomnimy położenie ówczesne i porównamy je z obecnem, to zobaczymy, że nastąpiło pewne przesunięcie się sił. W r. 1903-cim walczyły o mandat w okręgu katowicko-zabrskim trzy obozy: centrowców, ściśle zjednoczonych z katolikowcami, demokratow narodowych, skupiających się dokoła „Górnoślązaka“ i socyalistów. Hakatyści konserwatywni, jakkolwiek wysunęli własną kandydaturę, nie mogli być brani na seryo w rachubę.

Centrowcy szli do walki butnie, ufni w tradycyjne przywiązanie do nich ludu górnośląskiego, silni poparciem p. Napieralskiego i „Katolika“, rozporządzającego znacznymi wpływami. Demokraci narodowi wystąpili z radykalnem hasłem „precz z centrum!“ z młodzieńczą wiarą w to, że odrodzenia narodowego Śląska można dokonać z łatwością, byle zdobyć parę mandatów. Socyaliści wreszcie stawiali kandydaturę towarzysza Morawskiego, z góry przypuszczając, że on nie zwycięży i że dopomoże swymi głosami do zwycięstwa Korfantego.

I istotnie, socyaliści otrzymali 10,000 głosów, centrowcy blizko 20,000, wobec czego pierwsi musieli rozstrzygać przy wyborach ściślejszych bądź na korzyść p. Letochy (centrowca), bądź na korzyś Korfantego, który pod względem ilości otrzymanych głosów znajdował się na drugiem miejscu (11,670). Przeważyli szalę na korzyść kandydata narodowo demokratycznego, który złożył odpowiednią deklaracyę. Wobec tego przy wyborach ściślejszych p. Korfanty otrzymał 23,550 głosów, jego zaś przeciwnik-centrowiec 22,875.

Od tego czasu dużo wody upłynęło w Odrze. Górny Śląsk, uznawany w ciągu długiego szeregu lat nawet przez „Koło Polskie“ za „stan posiadania“ centrum niemieckiego, został ogłoszony za takąż samą prowincyę polską, jak Poznańskie lub Prusy Zachodnie. Powstał polski komitet wyborczy na Górny Śląsk, uzależniony od centralnego polskiego komitetu wyborczego na całe Prusy. „Katolik“ odsunął się—przynajmniej pozornie — od centrum i uznał władzę polskiego komitetu wyborczego. Wreszcie narodowi demokraci stracili swój pierwotny radykalizm społeczny i polityczny i przeżyli ewolucyę na prawo — takąż samą, jak ich koledzy gdzieindziej. Co do socyalistów, to ci w ciągu tych dwóch lat zdążyli utrwalić się w okręgu przemysłowym Górnego Śląska bardzo poważnie, zdobyli sobie niezmordowaną pracą wpływy znaczne i dziś rozporządzają już daleko większemi siłami, aniżeli przy ostatnich wyborach.

Charakterystyczne, że centrowcy, którzy przed dwoma laty tak jeszcze wierzyli, iż im nikt Śląska wydrzeć nie zdoła, obecnie zrozumieli, że położenie zmieniło się radykalnie i że dawne sposoby panowania nad ludem polskim należy złożyć w archiwum. Wobec tego na czoło akcyi centrowców wysunął się ks. Stephan ze swą „Gazetą Katolicką“, wydawaną w języku polskim, ale stojącą na gruncie centrum. Pismo to ogłasza się za organ olbrzymiej większości duchowieństwa katolickiego na Górnym Śląsku, a jednocześnie twierdzi, że chce bronić narodowości ludu górnośląskiego wobec germanizacyi, pomimo że ta „olbrzymia większość“ duchowieństwa bynajmniej nie ukrywa swych germanizatorskich, w znacznej mierze hakatystycznych zapędów. „Gazeta Katolicka“ z niesłychaną zaciętością zwalcza „Górnoślązaka“, jako pismo, tchnące „liberalizmem pogańskim i rewolucyjnością“, natomiast najwidoczniej kokietuje polski komitet wyborczy, nie mówiąc już o „Katoliku“ i p. Napieralskim, który bez względu na uznanie z musu polskiego komitetu wyborczego, w duszy pozostał centrowcem — takim samym, jakim był dawniej. Obóz „Górnoślązaka“ nie zdołał więc pozyskać „Katolika“ i jego zwolenników, zdobył sobie natomiast niebezpiecznego wroga w osobie ks. Stephana. Cała zaś polityka p. Korfantego i „Górnoślązaka“, niewolniczo naśladująca ohydne występy denuncyatorskie pp. Zygmuntów Wasilewskich, J. L. Popławskich i t. d. ze „Słowa Polskiego“, najzupełniej uniemożliwiła narodowym demokratom liczenie na poparcie socyalistów przy wyborach ściślejszych.

Wobe takiego położenia rzeczy i wobec tak zmienionych warunków zbliżająca się walka wyborcza nabiera specyalnego interesu. Właściwie mówiąc, z gotową kandydaturą dotychczas wystąpili tylko socyaliści, stawiając tak samo, jak i przed dwoma laty, towarzysza Franciszka Morawskiego, który niedawno opuścił więzienie bytomskie. Inne stronnictwa dotychczas jeszcze kandydatur swych nie zgłosiły, co świadczy (przynajmniej w stosunku do obozu narodowo-demokratycznego) o chaosie, panującym w stosunkach między frakcyjnych.

Narodowi demokraci i „Górnoślązak“ uważają za punkt honoru ponowne wystawienie kandydatury p. Korfantego, ale kiedy w r. 1903 postawienie jego kandydatury zależało wyłącznie od jego najbliższych zwolenników, dziś stosunki zmieniły się o tyle, że istnieje ciało (komitet wyborczy), które pełni funkcye zgłaszania polskich kandydatur na Górnym Śląsku. A ciało to nie składa się bynajmniej z samych zwolenników p. Korfantego. Reprezentowani są tam i przedstawiciele „Głosu Śląskiego“, zajmującego stanowisko pośrednie między „Górnoślązakiem“ a „Katolikiem“ i tego ostatniego. Wobec tego „Polski komitet wyborczy na Śląsk“ liczy się z opinią wszystkich tych odłamów. I zdaje się, że właśnie to liczenie się powstrzymało dotychczas od polecenia kandydatury p. Korfantego.

Obecnie te kandydatura stała się przedmiotem dyskusyi w pismach górnośląskich i niektórych poznańskich. Panuje jednozgodna opinia, że tylko ten kandydat polski mógłby zwyciężyć, którego poparłby „Katolik“. Ponieważ zaś ten ostatni uznał komitet wyborczy za prawowitą władzę, więc i komitet, licząc się z wpływem p. Napieralskiego, nie będzie mu chciał narzucać niemiłego kandydata. Dla nikogo jednak nie jest tajemnicą, że „p. Napieralski uważałby kandydaturę p. Korfantego za bardzo mało dlań sympatyczną.

Wszystkie pisma górnośląskie, stojące po za obozem „Górnoślązaka“ i „Katolika“, omawiając widoki kandydata polskiego w katowicko-zabrskiem rachują się z sympatyami i antypatyami p. Napieralskiego. Ten ostatni milczy dotychczas jak zaklęty w sprawie kandydatury p. Korfantego, a nie brak pogłosek, jakoby oświadczył się stanowczo przeciwko niej. Opierając się na tych pogłoskach centrowa „Schlesische Volksstimme“ proponuje „Katolikowi“ sojusz i obiecuje wystarać się o takiego kandydata, któryby był dla niego miłym.

Centrowcy są też w kłopocie. Chcieli wysunąć ponownie kandydaturę Letochy, ale ten długoletni poseł katowicko-zabrski jej nie przyjął, nie chcąc się narażać na klęskę. Jest mowa o kandydaturze ks. Kapitzy albo ks. Stephana. Ta ostatnia jest prawdopodobniejsza, gdyż ksiądz Stephan najwidoczniej przygotowuje dla siebie pole do wystąpienia. Uroczystem wypieraniem się wszelkiej wspólności z hakatyzmem, ksiądz Stephan pozyskał sobie poparcie „Orędownika“ poznańskiego, który w niezmiernie sprytny sposób stara się przystawić stołka p. Korfantemu. Za „Orędownikiem“ poszły „Postęp“ poznański i gnieznieński „Lach“—i oto nagle ks. Stephan wraz ze swą chytrze-germanizatorską „Gazetą Katolicką“ znaleźli się w obozie polskim. Co z tego wyniknie, nie wiadomo, ale nad „Górnoślązakiem“ i p. Korfantym gromadzą się wielkie chmury i kto wie, czy nie dojdzie do jakiegoś kompromisu pomiędzy komitetem wyborczym a centrowcami, reprezentowanymi przez ks. Stephana — po nad głowami narodowych demokratów.

Pośrednik.

Ligi kupujących.

Mam tu na myśli nie ligi kupujących w celu wzajemnej i solidarnej ochrony od wyzysku wytwórców: tych zadanie mogą skutecznie spełniać i spełniają stowarzyszenia współdzielcze. Ligi kupujących, które od lat 13 istnieją w Ameryce, a teraz zaczynają powstawać w Europie (co właśnie jest powodem niniejszego artykułu), mają cel inny: są to organizacye pomocy ze strony publiczności dla robotników, dobijających się lepszych warunków bytu. Powodem powstania pierwszej takiej ligi była ankieta stowarzyszenia kobiet pracujących, która wykryła w Nowym Yorku straszliwe stosunki w magazynach mód, — stosunki istniejące zresztą wszędzie: owo przesiadywanie wieczorami i nocami, oddawanie roboty do domów, nędzne wynagrodzenie, brutalne obchodzenie się. Klientki magazynów, postanowiły użyć swej siły kupczej, jako środka wywarcia nacisku na przedsiebiorców. Postanowiły kupować tylko u kupców którzy odpowiedzą warunkom postawionym przez ligę. Te warunki zawierają w sobie minimum płacy, maximum dnia roboczego, pewne minimum odpoczynków i urlopów, zniesienie godzin dodatkowych, albo przynajmniej sumienne ich płacenie, niezatrudnianie dzieci poniżej lat 14-u, przestrzeganie wymagań hygieny, dobre obchodzenie się z robotnicami. Upewniwszy się za pomocą wizyt osobistych i rozpytywania pracownic, a także informacyj, których chętnie udziela inspekcya pracy, że jakiś magazyn czyni zadość tym wymaganiom, liga umieszcza go na tak zwanej białej liście, którą ogłasza peryodycznie, tak że wszyscy jej członko-

wie, a nawet dalsi zwolennicy, kupują tylko w tych magazynach. W miarę rozszerzania tej ligi i zwiększania jej wpływu na szerszą publiczność, kupiec ma w tem interes, żeby jego firma znalazła się na białej liście, stara się nawet o tę reklamę a następnie lęka wykreślenia. W ten sposób liga, stawiając coraz to nowe żądania, oczywiście z należytą rozwagą i znajomością rzeczy, może stale czuwać nad polepszeniem warunków pracy. Kontrola jest bardzo ułatwiona gdyż inspektorem staje się tu poprostu każdy kupujący; kupiec z tych samych względów, dla jakich powinien znajdować się na białej liście, nie może kupującemu panu lub pani, należącym do ligi, zabronić przypatrywać się temu, co się dzieje w sklepie i wypytywać się pracujących. W Ameryce, w ciągu tych lat 13-u powstało 53 ligi kupujących w różnych miastach 18 stanów. Nie poprzestały one na magazynach, w których się towar kupuje, lecz poszły dalej, zajrzały do fabryk, w których się ten towar wytwarza, i postanowiły nabywać wyłącznie produkty, pochodzące z fabryk, zupełnie odpowiadających ich wymaganiom. Wymagania te i tu także ograniczone są do kilku jasno i wyraźnie określonych punktów: przestrzeganie praw ochronnych, wydanych przez państwo, niezatrudnianie dzieci, poniżej lat 16-u, 10-o godzinny dzień roboczy, zakaz pracy nocnej. Która fabryka odpowiada tym wymaganiom, otrzymuje pozwolenie używania tak zwanego *„labelu"*, czyli marki ligi, po której wszyscy jej członkowie, a także i szersza publiczność, zaagitowana przez prasę, poznaje dobry towar. Ażeby w tym wypadku kontrola i reklama stały się skutecznemi, niepodobna już było zamykać się w obrębie jednego miasta, ponieważ fabryka rozsyła swój towar na większej przestrzeni, tylko trzeba było połączyć wszystkie ligi amerykańskie w jeden związek, co też nastąpiło kilka lat temu. W ten sposób organizacya nabywców stanowi już dość poważną siłę i może wywierać pewien nacisk na fabrykantów i kupców. Czytelnik słyszał już coś zapewne o tych organizacyach amerykańskich; w ciągu ostatnich lat kilku zaczyna je naśladować Europa, i o tem właśnie chcemy dziś pisać. W roku 1902 powstała holenderska liga spożywców z siedliskiem w Hadze, ale rozszerzająca swą działalność na cały kraj. Różni się ona tem od amerykańskich, że gdy tamte zajmują się magazynami mód i fabrykami odzieży damskiej, ta postawiła sobie za pierwsze zadanie polepszenie i kontrolę warunków pracy w drukarniach i piekarniach; od tych ostatnich wymaga mianowicie przedewszystkiem zniesienia pracy nocnej. Następnie powstała „Liga społeczna kupujących" w Paryżu, a za jej przykładem—takaż liga w Genewie. Założycielką obu jest pani Brunhes, która jest też sekretarką ligi paryskiej. Warto zaznaczyć, że to młoda żona byłego profesora geografii w uniwersytecie fryburskim—uniwersytecie ściśle katolickim. W ostatnich dniach powstała także w Wiedniu z inicyatywy pani Luzzatto podobna liga p. n. „Konsumierendes Publikum". Przedewszystkiem chce ona pomódz subjektom w uzyskaniu zamykania sklepów o 7-ej. Liga paryska stawia sobie podwójne zadanie bezpośrednie: wpływać na kupców i przedsiębiorców—ale wpływać także na publiczność, która, szczególniej publiczność kobieca, lekkomyślnością swych zamówień, robionych w ostatniej chwili, kaprysami i natrętnością wymagań często pogarsza warunki pracy w magazynach mód, w pracowniach sukien i kapeluszy, i jest przyczyną przedłużania dnia roboczego oraz pracy nocnej. Każdy więc członek ligi—są to zresztą przeważnie członkinie—daje następujące zobowiązanie:

1-o nigdy nie robić zamówienia, nie zapytawszy się przedtem, czy nie pociągnie ono za sobą przedłużonej pracy nadprogramowej wieczorem lub w niedzielę;

2-o starać się nie czynić tego w ostatniej chwili, szczególniej w czasach, kiedy wiadomo, że praca i tak się nagromadza;

3-o zasadniczo nie przyjmować żadnej roboty ani towaru, odniesionych po godzinie 7-ej wieczorem lub w niedzielę, żeby nie być pośrednio odpowiedzialnym za przepłużenie pracy pracownic lub roznosicieli;

4-o płacić rachunki regularnie i w terminie.

Ten ostatni punkt ma prawdopodobnie na celu, wytworzenie dla przedsiebiorców jeszcze większego interesu w utrzymywaniu dobrych stosunków z ligą...

Z drugiej strony od właścicieli i właścicielek pracowni ubiorów damskich wymaga się następujących trzech rzeczy:

1-o praca ma się kończyć o godzinie 7-ej wieczorem a wyjątkowo tylko do 9-ej, nigdy później, nawet w najgorętszym sezonie;

2-o nie wolno dawać robotnicom pracy do wykończenia do domu;

3-o nie wolno wcale pracować w niedzielę.

Kto zobowiąże się przestrzegać tych warunków, ten zostaje zapisany na listę białą, wydawaną peryodycznie i może liczyć na klientelę wszystkich członków ligi.

Liga francuska jest jeszcze zbyt słaba i zbyt niedawno istnieje, żeby mogła zrobić to, co zrobiła amerykańska: zacząć wywierać nacisk także na większych fabrykantów. Tymczasem główną jej czynnością jest wychowywanie samej publiczności. W tym celu wydaje ona krótkie odezwy, które rozsyła po domach i rozrzuca w wielkich ilościach, a w których wymownemi i serdecznemi słowami maluje ciężki byt panny w magazynie, subjekta w sklepie, przedstawia długość ich dnia roboczego, nędzną opłatę, zmęczenie, zdenerwowanie, i gorąco namawia i prosi, ażeby panie i w ogóle osoby kupujące traktowały pannę i subjekta grzecznie i sprawiedliwie, nie zmuszały ich do pracy, o której zgóry wiedzą, że będzie zbyteczna, nie kazały spełniać nieuzasadnionych kaprysów, nie narażały skargami na utratę miejsca, uwzględniły czasem nawet błąd lub niedostateczną gorliwość w obsłudze, mając w pamięci przeciążenie tych ludzi w pewnych sezonach i godzinach. Liga w odezwach swych zwraca szczególną uwagę na czasy przedświąteczne i przednoworoczne, w których pomocnicy handlowi i pracownicy konfekcyi damskiej są szczególnie zawaleni pracą. „Jakże powinniśmy się starać—mówi pani Brunhes w jednej z takich odezw,—żeby te dni świąteczne nie były dla innych ludzi, dla innych kobiet, dla tysięcy dzieci, dniami najcięższej pracy, zmęczenia i smutku!" Wcześniejsze zamówienie, należyte obmyślenie z góry swoich wymagań, ułatwiłoby magazynowi zorganizowanie pracy, rozłożenie jej tak, żeby nie przedłużać dnia roboczego i nie naruszać odpoczynku w święto. Dlatego liga oprócz punktów, do których się jej członkowie zobowiązują, prosi jeszcze w odezwach wszystkich tych, do kogo trafić może, żeby nie robili żadnych zakupów w sobotę po południu, w dni powszednie po piątej wieczorem, a przed Nowym Rokiem i Bożem Narodzeniem, żeby je załatwiali zawczasu, czyli w pierwszej połowie grudnia. Naturalnie większość publiczności wezwania nie usłucha, ale choć część zakupów przynajmniej przeniesie się w ten sposób na godziny wcześniejsze i czasy spokojniejsze. W innych odezwach pani Bruhnes wymownie mówi o tem, jaka to teraz panuje obcość pomiędzy człowiekiem, który pracuje, a tym, który korzysta z jego pracy. Wskutek zastąpienia drobnego rzemiosła wielkim przemysłem i organizacyi handlu na wielkich przestrzeniach nie znamy, a co gorsza nie wyobrażamy sobie nawet i nie staramy się wyobrazić górnika, któremu zawdzięczamy ciepło, tkacza, którego praca nas odziewa, bardzo często i szwaczki, która nam uszyła suknię; w ogóle nikogo z tych, dzięki którym w rzeczywistości żyć możemy. Zapłaciwszy za kupiony towar, mamy sumienie zupełnie czyste i ani na chwilę nie zastanawiamy się nad tem, ile w nim tkwi łez, potu, cierpień, wyzysku, niesprawiedliwości. Zapewne, nauka społeczna, publicystyka współczesna i literatura usiłują po części zaradzić tej obcości, ale obrazy, które nam one przedstawiają, są jednak zawsze tylko ogólne. Liga społeczna kupujących stawia sobie za zadanie wychowawcze—zindywidualizować je, wytworzyć między nabywcą a pracownikiem żywy łącznik bezpośredniej znajomości i współczucia. Każe ona członkom swoim i członkiniom patrzeć na pannę przysłaną z magazynu, na chłopca ze sklepu, jako na żywych ludzi, a nietylko ogniwa stosunku kupieckiego, wypytywać się ich o warunki pracy i życia, docierać w ten sposób do ran społecznych, dowiadywać się o tych izdebkach i poddaszach, gdzie się szyje przez całą noc, ażeby zdążyć na oznaczony termin z robotą, wziętą w zbyt wielkiej ilości, a dowiedziawszy się o tem, oddziaływać za pomocą ligi na magazyny, żeby pracę wynagradzały sprawiedliwie i nie wymagały jej ponad ludzkie siły, na sklepy, żeby zamykały się wcześniej i dawały subjektom możność spędzania wieczorów i świąt w kole rodziny lub w sposób kształcący umysł.

Takim ligom możnaby wiele zarzucić, gdyby założyciele ich upatrywali w swej działalności jedyny albo nawet najważniejszy sposób poprawy stosunków społecznych, gdyby chcieli choć w części zastąpić nią walkę samych wyzyskiwanych i swoje prawa, albo interwencyę prawodawczą w celu przyspieszenia i utrwalenia korzystnych wyników tej walki. Na szczęście jednak uświadomienie społeczne jest dziś już na tyle rozpowszechnione, że przynajmniej osoby kierujące ligami złudzeń takich nie mają i nie propagują, tylko uważają swą działalność za dopełnienie tamtych sposobów postępu społecznego, za jeden z wielu rozmaitych środków pomocniczych, służących procesowi przenikania idei sprawiedliwości społecznej do opinii publicznej klas posiadających: Niewątpliwie też trzeba ligom przyznać pewną wartość w tym względzie. Wpływają one wychowawczo, zaznajamiają ludzi z istnieniem i treścią praw fabrycznych a zarazem odkrywają straszne braki tych praw i podtrzymują ciągłe dążenie do ich udoskonalenia. Z drugiej strony zarządy a nawet ogół członków lig mogą oddawać wielkie usługi, jako dobrowolni pomocnicy inspekcyi fabrycznej, która jak wiadomo, wszędzie, chociaż tu mniej, ówdzie więcej, jest niewystarczająca i nawet jeśli chce szczerze, nie może podołać swemu zadaniu, bo inspektorów jest za mało, bo fabrykanci znają ich, czatują na nich, często uprzedzają się nawzajem o ich spodziewanem przybyciu i t. d. To też w Stanach Zjednoczonych departament pracy nie wahał się nawet sekretarce ligi kupujących udzielić znaczka inspekcyi, uprawniającego do pełnienia jej czynności. Gdzieindziej czegoś podobnego spodziewać się nie można, ale jednak we Francyi różni inspektorowie pracy, po odczycie pani Brunhes w towarzystwie prawodawstwa fabrycznego oświadczyli zupełną gotowość do wzajemnego współdziałania. Na temże posiedzeniu kilku księży obiecało popierać usiłowania ligi i zachęcać do tego swych kolegów duchownych, co gdyby się urzeczywistniło, mogłoby mieć duże znaczenie ze względu na wpływ duchowieństwa na prowincyi, z którym liczyliby się fabrykanci i kupcy. Towarzystwo takie, jak ta istniejąca w Paryżu sekcya ochrony pracy, ma właśnie tę wielką zaletę, że jednoczy i styka ze sobą najrozmaitsze żywioły społecz-

ne, które w różnych podobnych wypadkach mogą się nawzajem popierać i dopełniać. To też byli tam i przedstawiciele związków zawodowych robotników, pracownic igły i pracowników handlowych, którzy również uznali pożyteczność ligi i chętnie przyjęli jej współdziałanie w swej walce o polepszenie warunków pracy. Ba! ligi amerykańska i francuska mają nawet dalsze plany, chcą stworzyć łączność międzynarodową pomiędzy ligami, co zwiększy jeszcze możność wywierania nacisku na kupców. Białe listy ligi paryskiej będą przesyłane do Ameryki, później do innych krajów i tam ogłaszane, tak że cudzoziemcy, przybywający do Paryża i zostawiający w tej stolicy tyle pieniędzy, będą kupowali w magazynach poleconych przez ligę.

Nie wszystkie społeczeństwa przedstawiają środowisko tak pomyślne dla tego rodzaju przedsięwzięć, jak Francya. Nie wszędzie istnieje nieograniczona możność ogłaszania odezw i ankiet układania list białych wyłączenie podług uznania ligi i rozpowszechniania ich w prasie, nie wszędzie też istnieje możność współdziałania z inspekcyą fabryczną i z organizacyami robotniczemi. Sądzę jednak, że wszędzie znalazłaby się w tej lub owej, zewnętrznie odmiennej może, a tylko zasadniczo podobnej formie — możność poparcia starań pracowników handlowych i pracownic igły o krótszą pracę i bardziej ludzkie obchodzenie się—za pomocą zorganizowanego nacisku publiczności kupującej na kupców i przedsiębiorców oraz pewnej świadomej zmiany przyzwyczajeń tej publiczności.

K. Krauz.



PAMIĘTNIK.

O Filipach z Konopi co gwałtem nie chcą jechać do Ameryki.

Niezapomnianej pamięci Maryan Bohusz, kilkanaście lat temu poświęcił parę energicznych słów ludziom, co ni z tego ni z owego w każdem miejscu i w każdym czasie zapewniają zdziwione otoczenie, że oni wcale nie chcą jechać do Ameryki. Ta cecha coprawda jest u nas tradycyjną i jeszcze ś. p. Filip z Konopi dobitnie ją zaznaczył, czemu też zawdzięcza swoją sławę nieśmiertelną u wdzięcznej potomności.

Czy jednak choć jaką taką sławę zdobędą dzisiaj jego potomkowie, którzy rozdzierają szaty od pasa do ramienia, a gęby od ucha do ucha, zapewniając szanownych abonentów, że oni okropnie nie chcą wszelkich nieszczęsnych dla siebie, a dla narodu szalonych kroków. To wielkie pytanie, kogo ci panowie tak gwałtownie chcą przekonać. Kto ich o to pyta u licha ciężkiego? Redaktorowie gadzinówek wszelkiego rodzaju, najgorętsi dziś ich koledzy w czynieniu wrzasku na pewien temat, co najwyżej ich trwogę wezmą za jeden więcej argument w swych wspaniale obmyślanych i celowo w świat puszczanych alarmach. A ogół nasz? Ten chyba dość przeszedł, ażeby wyrobić sobie sąd dojrzały o wszelkiego rodzaju straszakach, ażeby mieć pewien sposób działania; wie on dobrze, co sądzić o różnych tajemniczych „garściach szalonych". „siłach nieznanych", „źródłach ciemnych, a lekkomyślnych" i t. p. wyrobach, które już dawno powinny zbutwieć w archiwach.

Nie bójcie się.

Po chwilowem przejęciu się powagą chwili, po podniesieniu się poziomu myśli i uczucia, powracamy do dawnego życia. Można jednak zauważyć pewną różnicę między dziś a wczoraj. Ludzie poczynają grupować się w pewne odłamy, godzić się z tą myślą, że ogólniki patryotyczne nie mogą już przykryć właściwych ich dążeń. Naturalnie jest to dopiero zarodek przyszłego ustosunkowania się, lecz zarodek bardzo ciekawy i charakterystyczny. Stan taki rzeczy odbił się naturalnie i na prasie. I otóż dzienniki nasze wystąpiły z artykułami: Ogólnym ich tonem jest wołanie: nie bójcie się, przestrzeganie aby nie pojmowano zmowy, jako czegoś poważnego, aby nie myślano, że ci, którzy pragną polepszenia swojej doli, mają racyę i t. d. Społeczeństwu naszemu rzucono hasło: pozbądźcie się trwogi. Hasło to ważne i bardzo pożądane. Zdawałoby się, że istotnie należy wołać: przestańcie trwożliwie oglądać się na przeszłość, przestańcie lękać się każdego żywszego poruszenia, każdej nowszej myśli, przestańcie drżeć, gdy poczynacie myśleć, że życie inaczej może się ukształtować, że wczoraj może być niepowrotnie pogrzebane. Zdawałoby się, że głos: nie bójcie się, mówi: bądźcie mężni, wytrwali i wierzący, patrzcie w głębie życia, szukajcie w nich nowej siły, nowych nadziei. Zdawałoby się, że wołanie: nie bójcie się, zachęca do łączenia się, do grupowania, do pracy planowej i systematycznej. Niestety, publicyści nasi wołają co innego: nie bójcie się swoich braci, pragnących lepszej doli, nie trwóżcie się nowych haseł, znajdziecie siłę, poskromicie je; nie bójcie się, żeby was zmuszono do porzucenia egoistycznej drzemki, nie bójcie się, że ogół może zażądać od was rachunku za zmarnowanie chwili przełomowej. Bądźcie spokojni, jest was wielu i pokonacie tych, co chcą życie pchnąć na inne tory. To znaczy okrzyk: nie bójcie się, rzucony ogółowi naszemu przez publicystów pism codziennych. *r.*

Kto przetrzyma?

Nawet najbogobojniejszy sługa snu i ciszy przyznaje dzisiaj, że coś się dzieje, że chwila jest niezwykła i t. d. Otóż w momencie takim uwydatniają się pewne dwa prądy psychiki ogólnej. Z jednej strony uplastycznia się bierność, niemoc duchowa i uczuciowa, krótkowidztwo, z drugiej coraz głośniej chęć akcyi, działania i wołanie o planową pracę. Liczebnie przeważa siła bierna; ludziska nawet szczerze o czemś marzą, lecz czynią to, zamknąwszy się na cztery spusty, zgasiwszy lampę, zapuściwszy rolety. Wtedy rozwija się daleko idące projekty, stawia się niezwykle śmiało budowane horoskopy. Lecz niech ktoś w zapamiętaniu głośniej uderzy ręką o stół, — zapał niknie i rozpoczyna się — ubezpieczanie od nieszczęśliwych wypadków. Nastrój niezdecydowania, chwiejności i owa rodzima nasza miłość do sensacyi, regulowana bardziej współczesną ostrożnością, wszystko to, pomimo ogólnego poruszenia, psuje harmonię siły, i zaciemnia horyzont najbardziej optymistycznych planów. Lecz równoważy ją siła druga. Jest nią wzrastające przejęcie się powagą chwili i wiara w planową, systematyczną działalność. Przywykliśmy już do niejednego, co przedtem wydawało się niemożliwem lub dalekiem, przyzwyczailiśmy się do nowego położenia i poczynamy nawet w niem się oryentować. Nowe siły wystąpiły na widownię, i ci, którymi do niedawna „panie z inteligencyi" straszyły swe dzieci, dziś wysuwają się coraz bardziej na plan pierwszy.

Kto przetrwa? czy bierność i niemoc wraz z ich prorokami i objaśnieniami, podnoszącymi ujemne strony społeczeństwa do wysokości dogmatu, czy też ci, którzy chcą budzić i pchać do działania—mniejszość uświadomiona życiowo i umysłowo, wskazująca jedyną drogę, jedyne siły. Kto przetrwa? czy ci, co ślepi są skłonni do trwogi i sybarytyzmu duchowego, czy też ci, którzy idą za wskazówkami chwili i pragną czynu, męzkiego czynu, wyniku sił nowych, młodych, wytrwałych sił, które wykazały swą żywotność i zrozumienie potrzeb ogólnych. Kto przetrwa? *z.*

List pasterski.

Kiedy horyzont się zachmurzył, kiedy wszyscy przejęci byli powagą chwili i każdy czuł wewnętrzne wstrząśnienie, oni milczeli. Pochowali się po mieszkaniach swoich, ci, tak zwani pasterze, i nie dawali znaku życia. Gdy wybuchł zatarg między możnymi tego świata, a maluczkimi, których opiekunami oni się głoszą,—milczeli. Przemówili, gdy poczęto życie wracać w dawne łożysko. Pasterze jęli znowu wmawiać w swoje owieczki, „że próżniactwo" prowadzi do zguby, zaś pracowanie na drugich jest świętym obowiązkiem. *b.*

Reformy prasowe.

Prasa warszawska zainteresowała się naradami komisyi do spraw prasowych i wypowiedziała swe postulaty niezbędne dla rozwoju kulturalnego społeczeństwa. Życie poczyna się u nas zmieniać, i może w niezbyt odległej przyszłości nastąpią takie czasy, kiedy słowo drukowane pozyska pełnię praw. Czas więc pomyśleć o zreformowaniu wewnętrznem naszej prasy. Nie będę powtarzać znanych, choć zawsze racyę bytu posiadających zarzutów, czynionych dziennikom naszym. Chcę tylko zwrócić uwagę, że należy zająć się wprowadzeniem innej metody pisania. Czas zaprzestać niedomawiać szafować ogólnikami, lękać się zaznaczenia swego stanowiska. Należy raz nakoniec jasno wypowiedzieć, w co się wierzy i czyim interesom się służy. Wiele pism codziennych i większość wydawnictw peryodycznych pracuje dla pewnej, dość ściśle wyodrębnionej grupy społecznej. Tymczasem przeróżne fajerwerki, humanitarne wdychania i puste, lecz głośne deklamacye wprowadzają w błąd czytelników i wytwarzają zamęt w jego pojęciach. Niedomawianie kryje często pustkę myślową, ogólniki zastępują brak rozumienia kwestyi. Jażeli prasa ma pozyskać u nas poważny wpływ, to niech zaniknie gawędziarstwo i zacznie przemawiać świadome słowo. *c.*

Istota podwyżki.

Zaczyna wchodzić w modę sławienie pracodawców za ich „dobrowolne i humanitarne" ustępstwa dla pracowników. Pisma codzienne zaprowadziły oddzielną rubrykę w której skwapliwie notują rezultaty porozumienia się wzajemnego tych dwu grup. Dobrze byłoby, gdyby jednocześnie z cyfrą podwyżki podawano i cyfrę, o jaką fabrykanci obniżyli płacę w ostatnim roku. To zestawienie możeby zmniejszyło pochopność do sławienia czynów społecznych przeróżnych dyrektorów, lecz dałoby obraz bardziej zbliżony do rzeczywistości. Falowanie ekonomiczne nie przechodzi bez wpływu i na naszych „idylicznych" pracodawców, tylko że u nas zamiast zajęcia otwartego stanowiska wyłącznie klasowego, modnem jest zasłanianie się humanitaryzmem, który nie wyłącza używania wszelkich bez wyjątku środków celem—postawienia na swojem. Zewnętrznie—dekoracyjnie rzecz się inaczej przedstawia: zwierzchnicy wspaniałomyślnie robią ustępstwa, pracownicy dziękują w pismach i zakupują nabożeństwa—dbamy przecie o piękne decorum. *i.*

Ubezpieczenia.

Poważną myśl podjęło grono pracowników handlowych. Postanowiono zakrzątnąć się kołoą zorganizowania wzajem-

nego ubezpieczenia na wypadek utraty pracy. Członek kasy, wnosząc składkę, zyskiwałby prawo do otrzymania stałej zapomogi na wypadek, gdyby stracił miejsce. W połączeniu z tą kasą istniałoby biuro porad prawnych, które broniłoby interesów pracowników. Zrzeszanie się w takich celach jest u nas mało stosowane. Tymczasem tylko forma solidarnego łączenia się może skutecznie podziałać, zmusić „pryncypałów“ do ścisłego zachowania przepisów prawa. Inaczej zawsze praca będzie lekceważona, a pracodawcy będą uwalniać z posad tych, którzy im do gustu nie przypadną.

BADANIA NAUKOWE

Alkohol i esencye aromatyczne.

(Dokończenie).

Wszystkie te wiadomości osiągnięto w laboratoryach z doświadczeń na zwierzętach. Czy można je stosować do człowieka?

Ludzie, którzy nie umieją rozumować i którym obce są metody nauk biologicznych, nie mogą pojąć, że badacze chcą porównać skutki alkoholu, wprowadzonego w małych dozach do żołądka człowieka, ze skutkami jednorazowych zastrzyknięć większych ilości w żyły królika lub świnki morskiej.

„Jest to rozumowanie sprzeczne z prawidłami logiki,“ jak się wyraził Combes w senacie. Pojęcia te są jednak mylne. Fizyologowie zważają na warunki, które ich upoważniają do rozciągnięcia wniosków z doświadczeń z jednym rodzajem zwierzęcia na inny i z jednego rodzaju postępowania na drugi. Nie przyjdzie im. np. na myśl badać, jakie zakłócenia świadomości lub wyobraźni wywołuje alkohol albo absynt u królika lub świnki morskiej, ale czują się w prawie obserwować na takim lub innym ssącym trujący wpływ alkoholu i esencyi na krew, tkanki lub organy. Wiedzą z drugiej strony, że wstrzykując w naczynia taką substancyę, jak alkohol lub absynt, która nie podlega zmianom przy trawieniu przyśpieszają tylko to, co jest prędzej, czy później jej przeznaczeniem, tj. aby dostała się do krwi. Skracają zatem tylko opóźnienie i zapobiegając stratom, czynią objawy pewniejszymi, a więc i bardziej wyraźnymi. Jest to tylko powiększenie obrazu, aby go uczynić widoczniejszym. Możnaby zrobić tej metodzie badania bardziej uzasadniony zarzut. W tych doświadczeniach laboratoryjnych mamy działania natychmiastowe mniejszej lub większej ilości alkoholu lub absyntu na organizm. Otóż, co się tyczy człowieka nie to natychmiastowe działanie najbardziej nas obchodzi. Łatwo obserwować ostre upicie się absyntem, trudniej poznać zaburzenia, które wywołuje codzienne użynie napojów w ilościach umiarkowanych. Otóż pierwsze zjawisko nie objaśnia nam drugiego. Nieraz zdają się sobie przeczyć. Wymienimy tu tylko jeden przykład. Furfurol wywołuje zatrucie ostre bardzo gwałtowne, a jest prawie nieszkodliwy, używany w maleńkich dozach, powtarzanych w pewnych odstępach czasach. Aby zbadać zatrucie powolne, wywołane przez używanie napojów spirytusowych, trzeba było uciec się do doświadczeń inaczej prowadzonych lub do obserwacyi klinicznej.

Wypadki jednorazowego spożycia wielkiej ilości alkoholu lub absentu są rzadkie, wyjątkowe, przeważnie powodują śmierć. Ponieważ spożywanie powtarzających się małych ilości jest rzeczą powszechną poznanie powolnych skutków tego ogólnego przyzwyczajenia jest rzeczą najważniejszą dla lekarza i hygienisty.

Między próbami robionemi w tym kierunku zaznaczamy bardzo starannie wykonane doświadczenia p. Lalou z *esencyą absyntu*. Dowodzą one, że skutki szkodliwe tej substancyi nagromadzają się, a odporność zmniejsza się coraz bardziej.

Zaburzenia wywołane przez napoje spirytusowe przedstawiają trzy stopnie:

Pierwsze, jest to ostre, jednorazowe upicie (upojenie) się, spowodowane wypadkowem nadużyciem napoju wyskokowego. Tu występują objawy podniecenia, które stosownie do temperamentu osobnika — przejawiają się, jako wesołość lub smutek, czułostkowość lub gniew. Zakończenie tych objawów jest stałe i niezmienne: przytępienie zmysłów, znieczulenie ogólne, obniżenie temperatury, odrętwienia. Stan ten jest przejściowy, nie pozostawia śladów, jeżeli nie nastąpi po nim recydywa.

Zaburzenia drugiego stopnia są wywołane również nadużyciem jednorazowem, ale popełnionem przez pijaka nałogowego. Objawy są groźniejsze: obłędu pijackiego, zupełnego delirium tremens.

Trzeci stopień, alkoholizm chroniczny wywołany jest stałem nadużywaniem napojów alkoholowych. Spustoszenia jakie powoduje, nie mają charakteru gwałtownego ostrego pijaństwa, lub obłędu pijackiego, lecz dokonywają się powolnie i doprowadzają do upadku fizycznego, do zwyrodnienia tłuszczowego lub łączno-tkankowego przerostu organów.

Taki jest obraz ogólny alkoholizmu, a jego trzema stopniami: alkoholizm przejściowy, nałogowy, okresowy i chroniczny; wyrazem niezmienne przeznaczenie pijącego wódkę, wino lub absynt. Ta stałość zaburzeń przy używaniu najróżnorodniejszych napojów spirytusowych może być przypisana tylko jednemu ze składników, który jest u wszystkich ten sam: alkoholowi etylowemu. Alkohol zatem jest odpowiedzialny za wszystkie spustoszenia w organizmie, jakie wywołują napoje spirytusowe, otrzymywane przez fermentacyę, czy przez dystylacyę.

Opierając się na tych danych, pewna część lekarzy uznaje alkohol za głównego wroga pod tym względem i żąda ograniczenia jego zastosowania. Inna szkoła posunęła swe badanie dalej; i rzeczywiście zauważono pewne odmiany trzech stopni alkoholizmu stosownie do rodzaju spożytego napoju. Lancereaux rozróżnia trzy odmiany alkoholizmu: zatrucie winem, wódką i absyntem. Dwa pierwsze mało różnią się między sobą, ale alkoholizm i absyntyzm przedstawiają widoczne odrębności.

Ostre upicie się absyntem różni się od upicia się alkoholem, inne są też i chroniczne jego fazy. Wady spadkowe przekazane potomstwu (epilepsya) są bardziej określone, niż u alkoholików.

Lekarze odnaleźli w ostrem upiciu się absyntem cechy epileptyczne. Po przejściowym stanie podniecenia, pijak traci częściowo świadomość, poczem następuje prawdziwy napad konwulsyi.

Doświadczalnie odtworzono te dwa rodzaje zatrucia u psa i otrzymano ten sam obraz, co u człowieka. Alkohol doprowadza go do stanu bezwładu, absynt do epilepsyi.

Chroniczne zatrucie absyntem zaznacza się wcześniejszem wystąpieniem zaburzeń nerwowych, mających charakter bardziej określony i wyłączny, niż w alkoholizmie chronicznym.

Wogóle absynt jest trucizną, która skupia swe działanie na system nerwowy.

Skutki absyntu nie zależą zatem wyłącznie od alkoholu, lecz w znacznej części od wchodzących wskład jego esencyj. Wracając więc do pytania zadanego, akademii przez ministra, chodziło właśnie o wskazanie najbardziej trujących esencyi. Lekarz badał różne rodzaje absyntu, otóż najbardziej trującą okazuje się esencya otrzymywana z rośliny bylica piołun (artemisia absenthium). Główny składnik tej esencyi thuyona jest energicznym środkiem wywołującym konwulsye. Inne esencye wchodzące w skład absyntu, są również trujące. Jedne z nich wywołują napady tetoniczne lub epileptyczne, innych działanie jest paraliżujące. Wszystkie esencye, których jest około pięćdziesięciu, wchodzące w skład różnych wódek i likierów, dają się podzielić na dwie grupy. Pierwsza, której działanie wywołuje konwulsye, zawiera esencye koziej bródki, wrotyczu, szałwii, artemizyi, kopru, hyzopu i chiny. Druga grupa nie jest tak ściśle określona, należą tu esencye, których ogólne działanie jest paraliżujące, esencye mięty, melisy, lauru, z pestekyżu i bajadiu.

Widzimy więc, że akademia mogła była dać klasyfikacyę mniej lub więcej trujących esencyi, jak tego żądał minister spraw wewnętrznych. Nie uczyniła tego wskutek rady niektórych członków, niewierzących w dobry rezultat takiego określenia a obawiających się złych jego skutków i możliwego nadużycia.



Frank Wedekind.

Dziwne są koleje ducha twórczego. Sztuka, będąca najwznioślejszem jego uzewnętrznieniem, najtrwalszym pomnikiem, podlega ciągłym wtrząśnieniom, zmianom i zwrotom. Pomimo pozornej jednolitości ewolucyi życia, w dziejach sztuki dostrzec ją trudno. Przypadek staje się tu prawem, równoległem prawu ciągłości życia duchowego. Łączność polega jedynie na wspólności tła kulturalnego, owej tkaniny, na której poeta wypisuje symbole wewnętrznego swego świata; istotę zaś sztuki stanowi twórczość, a twórczość to potęga jednostki, potęga nie we wszystkiem uzależniona od czasu i przestrzeni. Na skutek tego powstają w dziejach sztuki nagłe i nieoczekiwane przemiany i zwroty.

Takim zewnętrznie nieoczekiwanym zwrotem w dziejach ducha twórczego jest cała poezya dzisiejsza. Po okresie romantyzmu, po okresie trzeźwości nagle wybuchnęła reakcya. Zmysły odżyły. Dziwnie się dziś komplikuje przerafinowanie duchowe, wrażliwa subtelność z żądaniami potęgi nieświadomej, ze zmartwychwstaniem tej odwiecznej siły, którą przemózgowiony, genialny nauczyciel tęsknoty współczesnej wypowiedział w haśle: „Seien sie der Erde treu“ (bądźcie wiernymi ziemi). Hasło to jest raczej okrzykiem człowieka, któremu z przed oczu znika brzeg ukochany, niż tego, który butnie i śmiało stąpa po rodzinnej ziemi.

W haśle tem jest zawarta treść całej prawie poezyi współczesnej. Zmienia się ona zależnie od temperamentu lub osobowości, lecz wszędzie wyczuć można tę podwójną nić uduchowienia i wzrastającego pożądania szału, upojenia.

Nerwowy, często nawet gorączkowy niepokój, wątpienie, zachwyty dzisiejsze są

dziełem tego rozdwojenia wewnętrznego. Sztuka jest echem duszy ludzkiej, a dziś ta dusza targana trwogą, palona pożądaniem innego świata, stała się drżącą i chwiejną Rosnące uświadomienie, wzmagające się jasnowidztwo czyni wszystko, co się przed jej oczyma dzieje, coraz bardziej jasnem i głośnem, a potęgująca się jednocześnie odczuwalność pobudza do ciągłego reagowania, do ciągłego bronienia się.

Poezyę tęsknoty do życia, do upojenia, do jednolitości skupił w sobie i wypowiedział Frank Wedekind, straszydło mamek i niańiek społeczeństwa, przedmiot nienawiści radców i wskazówkodawców ogółu — twórca śmiały i czujący.

Duch to silny tem, że pokonał niepokój, zdusił wątpienie i stanął mocno nogą na ziemi, która się chwieje, ugina pod innymi. Życie dlań jest życiem, tj., nie czemś trwałem, ustalonem, ujętem w karby praw, prawd, przepisów i reguł, lecz wiecznie wrzącym oceanem, wulkanem niespodziewanie bryzgającym lawą i ogniem, gromem i błyskawicą. Silnym życiowo, według tej prawdy, nie jest ten, kto chlubi się, że zna prawidła, podług których ludzie myślą czuje i giną, ale ten, kto ma w swej duszy wieczny żar i żyje własnem życiem a nie szablonem, tworzonym przez owe prawidła. Lecz ludzi tak jednolitych, tak silnych niema. Tarcie się o innych, nierozumiejących głosu ziemi, przebywanie wśród cywilizacyi i jej drobnoustrojów myślowych i uczuciowych przyprawia tych, co wyłącznie są dziećmi życia a nie kierownikami jego, o rozterkę tragiczną, z której niema wyjścia. Daremne naginanie się do istniejących warunków, daremne podłostki, zbrodnie, męczarnie, — ludzie cywilizowani nie pojmą dziecięcia instynktu; rozwiązaniem zagadki, jedynem wyjściem z zaczarowanego koła jest — śmierć.

Poeta stoi po nad tą walką uświadomionego pędu z uświadomioną cywilizacyą i to właśnie stanowi jego siłę twórczą. Nie szydzi on, nie sądzi, a wykazuje, tworzy. Życie, które maluje w dramatach swoich, jest z jednej strony powikłane, poplątane, z drugiej proste, wiecznie świeże, więc z dwu tych stron naszej codzienności wynika walka, męka, zguba.

Instynkt życia nie zamarł, bo jego zanik byłby zgonem człowieka. Krępują go „stosunki legalne“, które wprowadzają moralność i budują cały system istnienia na pojęciach dobra i zła. Złem koniecznem są one same; wielką mądrością życiową jest przekonanie, że nie należy „stawiać Bóg wie jak wielkich wymagań dla stosunków legalnych.“

Dobro i zło, cnota i grzech... Słońce pieści ziemię promieniami jasnemi; kwiaty w omdleniu zmysłowem pochylają swe kielichy, trawa zieleni się radośnie; las szumi rozwijającemi się liśćmi; woda rytmicznie mruczy jakieś pieśni; w powietrzu unosi się woń świeża i rozkoszna. Serce ludzkie czuje w sobie świetlaną ciszę; umysł wyzbywa się wszelkich trosk i rozpływa w marzeniach. Krew w żyłach poczyna bić żywiej. Człowiek cały promienieje chęcią życia, pragnieniem słońca, upojenia. A tu poczynają prawić mu: dobro i zło, cnota i grzech. Grzechem uczynili to, co jest głębokiem i w ten sposób spaczyli je, skrzywili i zbrudzili. Starcy od urodzenia wszędzie roztaczają swój zapach grobowy, wszędzie zawodzą pienia pogrzebowe, kruczą i trwożą, sami pozostając spokojni, zimni. Dusza i ciało rwą się do życia, kwiaty pachną, drzewa szemrzą, promienie świecą i wołają ku sobie, ku zrzuceniu płaszcza katechizmu obłudy. W ostatniej rozpaczy, w ostatniem rozżaleniu woła chłopak duszony tym nakazem pruderyi ogólnej: „nieczuduście nas tym waszym smrodem trupim“ — precz ze zmorami, dla żywych życie, dla umarłych— grób.

Idyllą tego budzenia się głosu, życia, idyllą młodości jest—Kindertragödie „Frühlingserwachen.“ Cicho, powściągliwie szkicuje poeta budzące się życie, którego nie mogą zagłuszyć żadne fałszywe nauki, ani pruderye i oburzenia. Idzie ono własnymi tory, zrywa tamy, burzy przegrody, dążąc do rozkwitu, do radości. „Erdgeist“, duch ziemi, szydzi z teoryj mózgowych, depcze umowy i ugody społeczne, obala plany i rozmysły, prze do życie, do pójścia za wołaniem ziemi. Kultura osłabia wewnętrzną jedność, rozdwaja człowieka, uczy go tęsknoty do absolutu, chłodzi i oziębia; lecz nie gasi iskry życia nie przygłusza ducha ziemi. Po długich latach studyów, pracy, kunsztownie przeprowadzonych zamiarów, subtelnie snutych marzeń, nadchodzi moment — i cały gmach pryska, jak bańka mydlana. Tych tylko nie łamie ten przewrót, których kultura zgnoiła. Innych, tak silnych duchem, że nie mogą oprzeć się porywom, druzgoce i przechodzi przez ich trupy z jasnym uśmiechem na twarzy.

Głosem ducha ziemi, dziecięciem instynktu życia uczynił poeta — kobietę: „Lulu“ nie ma w sobie zupełnie świadomości mechanizmu życia, reaguje tylko bezpośrednio na stosunek do niej tych, którzy najczęściej się z nią stykają. Gdy czuje pulsującą krew w żyłach, rosnący przypływ młodości, szaleje i niszczy. Nie doznaje żalów i wyrzutów. Dla niej nie istnieje życie duszy, życiem jest pęd i szał. Dzisiaj dla szału miejsca niema; jesteśmy społeczeństwem, w którem wszystko uregulowano i unormowano. Niewidzialna nić łączy wiele serc ludzkich. A szał przecież jest zdeptaniem wszelkich norm, jest poświęceniem wieczności dla chwili, jest zerwaniem owej sieci łączącej. Ta kobieta ma w sobie naiwność słońca, które wesoło spogląda na wszystko, co się dzieje na ziemi, nie rozróżniając barw ani cieni; ma ona naiwność dziecięcia, które nie może wznieść się po nad grę błyskotliwą barw i świeżość radosnej wiosny. Jest ona, jak kwiat, który wyrasta, rozchyla swój kielich, pije chciwie powietrze, rosę i ginie, zerwany lub zwiędnięty. Jest ona jak ptak, który, dumny z blasku swych skrzydeł, unosi się w powietrzu, szybując prędko aż do zawrotu głowy, śpiewając i radując się.

Życie dziś wskutek tego stało się bardziej skomplikowanem, że kultura wytworzyła rozłam między głosem ziemi, a uduchowieniem — głosem nieba. Pojęcia, których zadaniem jest normowanie życia, są oparte na dostosowywaniu się do warunków zewnętrznych.

Poczucie tęsknoty do ziemi, do życia nie odradza się dziś po raz pierwszy. Renesans był okresem najwyższego jej napięcia. Dziś tak daleko odeszliśmy od pierwotnej radości, że przebudzenie się jej jest prawie wyłącznie głodem myśli.

Wedekind najsilniej ujął tę właśnie stronę dzisiejszego życia. Duch jego nie czuje zupełnie męki sumienia, stoi on po za dobrem i złem; to jego oddalenie jest tak znaczne, że zanikają kontury dotychczasowych dramatów etycznych. Słyszy on tylko tętno życia. Zmęczenie mózgową połowicznością, gorączka niepokoju tak przepaliły poetę, że utracił on łączność z męką dzisiejszą i poszedł na drugą stronę (jenseits), za radością życia.

Poezye jego cechuje dziwny dar siły. Napięcie jego dramatów nie wypowiada się w grozie położenia, lecz w starciu się dwu potęg: siły instynktu życiowego, z wtłoczoną weń świętością norm ustalonych. W utworach jego niema buntu, walki, ścierania się. Starcie zachodzi li tylko pomiędzy zewnętrznymi warunkami.

Nadzwyczaj silną dramatycznie jest tragedya dziecięca „Frühlingserwachen.“ Skupienie nastroju polega na niezwykłem zwarciu w prostych słowach. Z cudowną intuicyą maluje poeta poeta dzieje tajemnic lat dziecinnych. Paru urywanemi kreskami, paru cichymi cieniami sugestyonuje on nastrój grozy. Opowieść rozwija się spokojnie, po za obrazami zwykłych zdarzeń ze świata dzieci przesuwa się jakiś czarny obłok, rzucający niemiły cień na życie istot, ciekawie nadsłuchujących szeptów nieznanych. Cień pada na młode duszyczki, znika wiosna, pozostaje jesień i mowy pogrzebowe.

Pomimo ironicznego skrzywienia ust; Wedekind jest poetą czującym i subtelnym. Drobne cieniowanie oddaje on z plastyką muzyki, nie pospolitując zbyt głośnem podkreśleniem, zbyt jaskrawem wywołaniem. Poezya jego jest nadzwyczaj pociągająca. Ma ona w sobie urok wiosny. Niezrozumiałą jest dla krytyków urzędowych, bo ci zatabaczeni taksatorzy wszędzie wietrzą tylko moralność bogobojną.

Poezya Wedekinda jest nastrojem wiosny. Utwory jego mają w sobie wielką świeżość, obcą goryczy i zwątpieniu. Ludzie jego giną, męczą się, lecz są tylko głosem życia, ślepą zabawką tajemnicy. Cóż znaczy, że jakiś punkcik zagasł, że jakaś bańka mydlana rozprysła się w przestworzach. Temat główny jego symfonii to głos życia. Wszelkie starania, aby je zagasić, idą na marne. Napróżno ludzie czynią wysiłki, aby ucywilizować, wyprzyzwoicić podszepty ducha ziemi, napróżno chcą wprząść Lulu w jarzmo norm społecznych. Ona poddaje się biernie formom zewnętrznym; wychodzi za mąż, występuje na scenie, oddaje się nawet prostytucyi. To włączenie w spis ludności zmusza ją do kłamstwa i ukrywania się. Wszystko, co z nią robią, dla niej obojętne; ona zna inne życie, inaczej uderza tętno jej krwi, zawsze pozostaje sobą, pozostaje żądzą życia, śmiechu, radości.

Ten główny motyw pochłania poetę. Do niego stosoju on i formę językową. Jego metoda pisania polega na impresyonistycznem zestawieniu plam barwnych. Mówi on gorączkowo, prędko, urywanie; niedomawia. Ta forma może zbliża go najwięcej do młodych Niemiec. Treść ducha, głębia jego poezyi jest inna. Niema w niej męki kultury, smutku, tęsknoty; jest świeżość, jasność promienna życia, jest wiosna, kiedy ziemia czarna oddycha zmysłowo i wszystko się budzi do życia, do istnienia, do upojenia.

Świeża, radosna jest poezya Wedekind'a, a jednak niewesoła. Pomimo całej swej siły, pomimo zapomnienia o męce ducha, dusza jego pozostała posępna. Jak echo z za morza, dawny smutek rzuca cień lekki na radość i płoszy wesele. Śmieje się doń cała przyroda, śmieje się słońce, śmieje się wabiące ciało kobiety-zagadki, śmieje powietrze, pieśń i życie, on—pozostaje tylko uśmiechniętym. Jest to blady uśmiech człowieka, po długiej chorobie powracającego do zdrowia; czuje on w sobie siłę, radość istnienia, zapomniał o cierpieniach, o nocach bezsennych, o zmorach męczących rozpaloną głowę, lecz siły jeszcze zupełnie nie wróciły; czuje rzeźkość, lecz i lekki zawrót głowy.

Śmiech Wedekind'a to nietylko radość, która przemogła ból, lecz i żywiołowa siła życia. Nie jest to wesołe dworowanie tak zwanych wesołych ludzi, a jasność światłości dnia. Żywiołowość odgrywa w poezyi jego wielką rolę. Lulu—duch ziemi jest taką potęgą żywiołową, wabiącą i odpychającą, z jasnym uśmiechem dziecka popełniającą mord. Jedynym krzykiem jej serca jest chcę żyć!

Chcę żyć— to okrzyk zrywający się, jak huragan w najbardziej przecywilizowanym człowieku. Chcę żyć — jako nieświadoma samej siebie siła przyrody, niebadająca początku i końca istnenia, niesnująca uogólnień i planów tęsknica do życia jednolitego, do pogańskiej ślepoty radosnej.

Okrzyk ten to tło całej poezyi Wedekind'a. Poezya ta, miękka, dziecięca, czasami prosta, szczera i uczuciowa, to zimna stalowa, jak marmury greckie, jest wielkim

skarbem kultury współczesnej; ujmuje ona życie w chwilowe zbryłowanie, podkreśla pewne momenty w jego biegu nie zatrzymując, nie uruchomiając fali.

Frank Wedekind to niezwykły w dzisiejszych dniach poeta; nie z rozpaczą ślepnącego starca lub tonącego rozbitka, lecz z siłą młodości w piersi, ze krwią w żyłach woła on: Chcę żyć! Chcę żyć!

Zbigniew Brodzki.

SPRAWY EKONOMICZNE

Ustawodawstwo ochronne
w austryackich kopalniach węgla.

Ostatnie wypadki w okręgu górniczym reńsko-westfalskim żywo przywodzą na pamięć owe zajścia, które miały miejsce w Austryi, w pierwszych miesiącach roku 1900. Stu-tysięczna rzesza górników wystąpiła z żądaniem skrócenia czasu pracy i, niezłamana uporem pracodawców, wróciła do zajęć dopiero wobec przyrzeczenia rządu uregulowania dnia roboczego ustawą w myśl ich życzeń.

Rozpoczęła się potem akcya, która zamierzoną reformę parlamentarną miała przewlec i osłabić. W rozpaczliwej wprost obronie zajmowanego dotychczas stanowiska wysunęli austryaccy właściciele kopalń widmo groźnych dla górników, konsumentów i wytwórczości krajowej następstw zmiany w warunkach pracy. Krótszy dzień roboczy miał w ich przedstawieniu koniecznie pociągnąć za sobą zmniejszenie ilości dziennego produktu, przypadającego na jednego robotnika, zmniejszenie zarobków górniczych, słabsze zaopatrzenie rynku, zwyżkę cen węglowych. Stąd trudne warunki dla wszystkich gałęzi krajowego przemysłu, konsumujących węgiel i dla uboższej ludności, zmniejszenie siły zakupczej pieniądza, niekorzystny układ stosunków handlowych z zagranicą, słowem, ogólna klęska gospodarcza.

Ani rząd, ani parlament nie cofnął się wobec tych gróźb, tak dobrze znanych z historyi ustawodawstwa fabrycznego. Nie dawano wiary rozsiewanym dokoła strachom, lecz nietylko wśród niechętnych, ale nawet w kołach zwolenników skrócenia dnia roboczego w górnictwie niżej 10 godzin nie wątpiono, iż pociągnie ono za sobą zmniejszenie wyniku dziennej pracy robotnika. Zamierzoną jednak reformę postanowiono przeprowadzić bodaj kosztem kapitału.

Ustawa górnicza z dnia 27 czerwca 1901 r., która, ze względu na przewidywane zmiany techniczn w kopalniach, weszła w życie dopiero w rok później, zapewniła pracującym pod ziemią górnikom 9-godzinny dzień roboczy. Nie było to spełnieniem wszystkich ich życzeń, ale niezaprzeczenie, dzięki zabezpieczonej oświadczeniem przedstawiciela rządu interpretacyi ustawy, dawało bardzo wiele. Dziewięciogodzinna szychta, tj. czas od wjazdu do wyjazdu z kopalni, rachuje się nie *indywidualnie* dla każdego robotnika z osobna, lecz *zbiorowo*, czyli od wjazdu pierwszego do wyjazdu ostatniego robotnika. Ponieważ zajęci w jednej kopalni górnicy nie równocześnie wszyscy, lecz tylko w większych lub mniejszych grupach spuszczają się w podziemia i wydostają na światło dzienne, a transport ten zabiera od kwandransa do godziny dziennie, przeto istotny czas pracy jednego robotnika jest też krótszym, niż szychta zbiorowa.

Według zgodnego zdania fachowców nowa ustawa przyniosła, zależnie od pop rzedniego sposobu liczenia szycht, skrócenie dnia roboczego o 10—25%. Jaki zaś wpływ wywarła na wielkość produkcyi, zobaczyć można z tabeli podanej w 20 numerze b. r. „Sociale Praxis“ przez Dr. Sinzheimera docenta uniw. monachijskiego, ułożonej na podstawie obliczeń prowadzonych przez przedsiebiorstwo kopalniane, które służą zarządowi w oryentowaniu się w gospodarczej i technicznej wydajności poszczególnych szybów. Cyfry podane przez dr. Sinzheimera obejmują 17 szybów i przeszło połowę rocznej produkcyi ostrawsko-karwińskiego rewiru węglowego, a zatem zakresem swoim usują zgóry już zarzut przypadkowości lub niemiarodajności.

Szychta dzienna dawała (szychta z roku 1899=100).

Szyb	1900	1901	1902	1903
1	94,0	83,1	94,0	89.2
2	95.1	77,7	92,2	96,1
3	109,1	87,9	84.8	96,0
4	109,1	101.2	98,0	106,0
5	111.4	108,4	112,3	116,5
6	96,5	93,0	92,1	90,2
7	—	—	100,0	111,7
8	—	100 0	106,5	107.6
9	100,0	82,7	98,4	99,2
10	100,0	89,9	104.5	105.6
11	94,7	89,4	92,8	95,3
12	100,0	110,8	107.3	—
13	—	100,0	97,5	109,0
14	100,0	96,3	89.0	81 6
15	—	100,0	110.5	107,0
16	100.3	86,8	78,5	94,3
17	100,0	86,3	92,6	110,4

Porównanie poszczególnych szybów daje zdumiewające wprost rezultaty. W 13 wypadkach bowiem wynik produkcyi był za rok 1902 lub 1903 albo też w obu latach wyższym od minimalnego wyniku w latach poprzednich. W r. 1903, który rozpoczął się dziewięciogodzinną szychtą w wszystkich szybach— z wyjątkiem dwóch — wzrosła ilość wydobytego w przecięciu dziennym produktu. Dla szybu 6, stanowiącego jeden z obu wyjątków, stwierdza zresztą sam zarząd mniejszą wydajność, zpowodowaną wydłużeniem szybu. Podobnie dla 1 i 3 nowe techniczne utrudnienia produkcyi. Pozostaje szyb 14, w którym widoczne jest znaczne pogorszenie. Ale przecież i bez zmiany czasu pracy istnieją w wynikach rocznej produkcyi liczne wahania, jak z zestawienia pierwszych dwóch rubryk tabeli przekonać się łatwo. Przy równych warunkach dała zatem krótsza szychta roku 1903 produkt, który bądź dochodzi do maximum lat poprzednich, bądź je przekracza. A nawet słabszy tu i owdzie wynik dowodzi zawsze jeszcze zwiększonej wydajności pracy, bo zniżka nie dosięga podanego przez fachowców procentu skrócenia dniówki.

Smutne wróżby austryackich właścicieli kopalń, badane w świetle ich własnych cyfr, dają zupełne fiasko. Sumując ich wynik śmiało twierdzić można, że skrócona szychta daje przy tej samej liczbie zajętych robotników tę samą ilość produktu, co poprzednia, dłuższa. A może nawet niedoceniamy gospodarczego znaczenia skrócenia dnia roboczego w górnictwie, jeżeli powiemy, że krótsza szychta nie zmieniła wcale wyników pracy. Że ich nie przecenimy — to pewna.

A przecież słyszymy teraz w Prusach te same argumenty, te same groźby i złowróżbne przepowiednie, które słyszeliśmy przed pięciu laty w Austryi. I tutaj opinia publiczna, rząd i parlament przerazić się mają zgubnych dla ogółu następstw projektowanych reform i odstąpić od nich w imię dobrze zrozumianych interesów robotników i konsumentów. Zrobiona w Austryi próba uniemożliwia nawet pozorną wiarę w te strachy.

L.

Najwyższy Reskrypt.

Na imię ministra spraw wewnętrznych.

Aleksandrze, synu Grzegorza!

Wierne starodawnemu zwyczajowi rosyjskiemu w składaniu u Tronu wyrazów uczuć swoich w dniu radości i smutków, przebywanych przez ojczyznę, zgromadzenia szlachty, ziemskie, kupieckie, miejskie i włościańskie ze wszystkich stron ziemi rosyjskiej, przesłały Mi liczne życzenia z powodu radosnego zdarzenia narodzenia się Następcy Tronu Cesarzewicza z wyrażeniem gotowości ofiarowania swojego mienia dla pomyślnego zakończenia wojny i poświęcenia wszystkich swoich sił do współdziałania ze mną w przywróceniu porządku państwowego.

W imieniu Jej Cesarskiej Mości i Swojem polecam panu, abyś zgromadzeniom, które zwróciły się do Mnie z życzeniami, wyraził Nasze serdeczne podziękowanie za wyrażenie uczuć wiernopoddańczych, które w ciężkiej dobie, przez Nas przeżywanej, były tem milsze, że wypowiadały gotowość współdziałania na Moje wezwanie ku pomyślnemu urzeczywistnieniu zapowiedzianych przeze Mnie reform i że odpowiadały w zupełności Mojemu pragnieniu wspólnej pracy rządu i dojrzałych sił społeczeństwa, aby osiągnąć wykonanie Moich zamierzeń, skierowanych dla dobra narodu i aby dalej wykonywać monarsze zadanie Moich ukoronowanych przodków w gromadzeniu i urządzaniu ziemi rosyjskiej.

Z pomocą Bożą zamierzyłem powoływać odtąd najgodniejszych, obdarzonych zaufaniem ludności i wybranych przez ludność ludzi do udziału we wstępnem opracowaniu i obmyśleniu zamierzeń prawodawczych.

Uwzględniając szczególne warunki obszernej ojczyzny Naszej, różnoplemienność ludności i słaby w niektórych miejscowościach rozwój cywilizacyi, Monarchowie Rosyjscy w mądrości swojej udzielali zawsze reform koniecznych, zależnie od dojrzałych potrzeb, w pewnem stopniowaniu, z przezornością, zapewniającą niezrywanie związku historycznego z przeszłością, jako rękojmią trwałości i stałości reform w przyszłości.

Przedsiebiorąc obecnie te reformy, w przekonaniu, że znajomość potrzeb miejscowych, i rozumne a szczere słowo godnych ludzi wybranych zapewni owocność prac prawodawczych dla dobra narodu, przewiduję powikłanie i trudność wprowadzenia reform w życie przy bezwarunkowem zachowaniu praw zasadniczych państwa.

Znając wieloletnie pańskie doświadczenie i ceniąc stałość charakteru pańskiego, uznaję za dobre utworzyć pod pańskiem przewodnictwem osobną radę dla obmyślenia sposobu wykonania Mojej Woli.

Niechaj Bóg błogosławi Moim zamiarom, niechaj pomoże panu urzeczywistnić je pomyślnie dla dobra powierzonego Mi narodu.

Pozostaję niezmiennie panu życzliwym.

Na oryginale Własną Jego Cesarskiej Mości ręką podpisano:

„MIKOŁAJ“.

D. 18-II 1905, Carskie Sioło.

Życie publiczne w Rosyi.

Ruś w rubryce „Kwestya polska“ drukuje szereg uwag o sprawach gospodarki miejskiej w Królestwie Polskiem. Są one wyjęte z memoryału, złożonego niedawno w ministeryum spraw wewnętrznych; memoryał ma być wkrótce wydany w druku w dosłownej osnowie.

„W miastach—czytamy w artykule *Rusi*—istnieją zarządy miejskie, zwane magistratami, na czele stoją w większych ogniskach prezydenci, w innych burmistrze. Wszystkich urzędników tych instytucyi wyznacza rząd. Ludność miejska nie bierze żadnego udziału w tem i, wobec braku organów wybieralnych, nie wywiera na bieg spraw miejskich żadnego wpływu.

„Miejscowe sprawy miejskie, powierzone magistratom, schodzą do rzędu spraw, dotyczących zewnętrznego, rzec można, urządzenia miast.

„Ponieważ zaś, według reguły ogólnej, wszystko to, co nie jest przewidziane przez prawo, nie może podlegać kompetencyi instytucyi rządowych, więc ani opieka nad biednymi, ani wyplenienie żebractwa, ani urządzenia zakładów dobroczynnych i leczniczych, ani też kształcenie i oświata szerokich warstw—nie należą zupełnie do programu działalności magistratów, które spełniając jedynie funkcye administracyjne, nie zajmują się tego rodzaju sprawami i przedsięwzięciami".

„Z drugiej strony, sposoby załatwiania tych spraw miejskich, które podlegają kompetencyi magistratów, nie mogą być uznane za zadawalające. Magistraty, jako podrzędne organy rządu, nie korzystają z żadnej samodzielności. Według istniejącego systemu, magistraty nie decydują prawie o niczem, nie posiadają prawa decyzyi nawet w tym wypadku, kiedy sprawa dotyczy czysto zewnętrznego urządzenia miasta; zadanie tych instytucyj stanowi jedynie wykonywanie polecenie władzy wyższej. Wobec takiego systemu nic dziwnego, że załatwienie ważniejszych spraw miejskich przewlęka się bezowocnie w ciągu lat i dziesięcioleci".

„Miasta w Królestwie Polskiem, a przynajmniej Warszawa, Łódź i inne ogniska przemysłowe, rozwijają się pod wpływem różnych czynników ekonomicznych, ale wzrostowi ich w ciągu ostatnich dziesięcioleci nie towarzyszy rozwój kulturalny ludności i zwiększenie się jej dobrobytu".

„Na całej przestrzeni pomiędzy oceanami: Atlantyckim i Wielkim, poczynając od miast portowych Francyi aż do Władywostoku, miasta Europy i Syberyi stanowią gminy niezależne i korzystają z prawa samorządu w tej lub innej formie; tylko w Królestwie Polskiem, na niewielkiej przestrzeni pomiędzy Kaliszem i Terespolem potrzeby ludności miejskiej pozostają na łasce losu, wskutek usunięcia społeczeństwa od udziału w tej sprawie. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, reformę należy uznać za konieczną z punktu widzenia nietylko społecznego, lecz także i politycznego. Autor wskazuje w końcu konieczność wprowadzenia „autonomicznego zarządu miejskiego, opartego na zasadzie wyborczej, wraz z powołaniem doń sił społecznych miejscowych i z uwzględnieniem miejscowych warunków".

Rusk. Wied. piszą: „Dzień dzisiejszy, będzie wielkim wypadkiem naszej najnowszej historyi. Reskrypt Najwyższy zapowiada odnowę naszego mechanizmu prawodawczego przez wprowadzenie przedstawicieli narodu. W przekonaniu, że znajomość miejscowości, niezbędne doświadczenie życiowe i rozumne, otwarte słowo godnych przedstawicieli zapewnią owocność pracy prawodawczej na rzeczywisty pożytek narodu—władza Najwyższa postanowiła nadal powoływać ludzi wybitniejszych, obdarzonych zaufaniem narodu i przez niego wybranych do udziału w robotach wstępnych i rozważaniu projektów prawodawczych.

Przyznanie przez władzę Najwyższą rozsądności i celowości tych pragnień, jakie tak często wypowiadano w ostatnich czasach, ma nadzwyczaj ważne znaczenie. Bez względu na to, jaką formę przybiera udział przedstawicieli narodu w pracy prawodawczej,—środek ten jest stanowczym krokiem do odnowienia i ożywienia naszego życia państwowego".

Od lat stu przeszło wychodzący w Petersburgu *Petersburger Zeitung*, baroneryi kurlandzko-inflanckiej, zapytuje *Rusi*, która w ostatnich czasach dużo uwagi poświęca wnikaniu w warunki bytu Polaków, Litwinów i Gruzinów—A na nas czy też nie zechce zwrócić uwagi gazeta, tak silnie interesująca się sprawami „inorodców"? My, Niemcy, mielibyśmy to i owo do powiedzenia — dziś, gdy oto np. zamilkła mowa niemiecka w szkołach nadbałtyckich, w sądownictwie tamtejszem, a do reform takich nie daliśmy, dalibóg, najmniejszego powodu. Lepszych niż my, gorliwszych, ofiarniejszych poddanych rosyjskich ze świecą szukać. I—nie znaleźć.

„Prawda,—pisze *Ruś* w Nrze 38—jest was, panowie, w granicach Rosyi bez mała 3 miliony. Prawda, macie najdostojniejsze cechy narodowe, kulturę, że aż miło i — o nielojalność nikt was nie posądzi. Ale, my was nie możemy traktować narówni z Polakami, Litwinami, Gruzinami lub Łotyszami i Estami, o których niebawem obszernie pisać będziemy. Albowiem wszystkich ich łączy jedna wspólna cecha, a mianowicie: siedzą oni wszyscy w obrębie państwa na własnych, historycznych terytoryach. Tam tylko można mówić o „narodzie" w całem znaczeniu słowa, gdzie naród ma ziemię rodzimą, kraj ojczysty, gdzie ma „ojczyznę", którą zaludnia zwartemi masami. A wy, panowie Niemcy rosyjscy, gdzie tu u nas macie swój „vaterland"? Wasza ojczyzna za miedzą graniczną państwa rosyjskiego. Boć przecież trudno, abyśmy rozrzucili okruchy niemieckiej waszej ojczyzny wszędzie, gdzie spodobało się wam osiąść w Rosyi, t. j. nad Wołgą, w guberniach południowych, nad Bałtykiem w Królestwie Polskiem! Tego uczynić nie możemy. Wy jesteście *gośćmi* u nas. Możemy wam dać jedno w Rosyi—równouprawnienie. Nie rośćcie pretensyi do niczego więcej. To tylko możemy uczynić dla tych, którzy ojczyznę swoją mają—po za Rosyą. Wyobraźcie sobie grupę czystej krwi Rosyan, osiadłych np. gdzieś w Bawaryi lub pod Hanowerem. Czy zgodzilibyście się dać tej grupie zupełną, narodową autonomię? Chyba nie".

— *Ruś* przytacza słowa jednego z wybitnych mnichów rosyjskich, Michała, w piśmie *Majak*, w którem tenże rozbiera wydarzenia współczesne z punktu widzenia cerkwi prawosławnej:

„Śród zawiernichy znękany naród wpada w zupełny indyferentyzm. Nie ceni się rządu: jedni ujrzeliby jego upadek z radością, inni bez żalu. Wielu nie widzi dokoła siebie nic, coby zasługiwało na ich przywiązanie, i zbliża się do cerkwi. W niej więcej stałości.

„Bezwątpienia, niepokoje zrodziły wątpliwość, co do pomyślności tego, co jest, i posiały niesnaski — mówi dalej mnich Michał.— W tym właśnie czasie zwracają się po prawdę do cerkwi, zapytują duchownych o ich zdanie, lecz nie wierzą im". Mnich Michał powtarza: „Nam nie wierzą! Tak też być musi: czem zasłużyliśmy na wiarę, czy mamy do niej prawo? U nas nie było szczerości". I pyta dalej: „Czy duchowny ma prawo milczeć, kiedy giną dusze? Duchowny powinien ochraniać dzień wypoczynku, jako dzień Boży; lecz i tutaj jest on bezsilnym, ponieważ robotnik, spędzając 12 godzin na dobę przy pracy, przytępiony i znużony, pójdzie łacniej do sklepu wódczanego, potrzebując narkozy, niż do świątyni".

„Przechodząc do kwestyi związków robotniczych, korporacyi, mnich Michał — pisze *Ruś*—mówi, iż on nie może uświęcać, nie może wszakże i potępiać tych związków, jeżeli związki stworzone są chociażby ku pokojowej walce pracy z kapitałem. Organizacya taka istnieje przecie dla wypracowania podstaw pracy w lepszych warunkach normalnych. Autor powołuje się na organizacyę związków w Ameryce i sądzi, iż na gruncie nauki chrześciańskiej powstaćby mogły instytucye, nie przedstawiające odstępstwa od idei chrystyanizmu. Duchowny prawosławny ma swoje własne kryteryum, swe prawo socyalne. Na podstawie tego prawa może on budować i powinien zacząć budować. Jeżeli w budowaniu tem zdarzy mu się ścierać z czemkolwiek i przeczyć, a więc walczyć, to walka ta jest żądaniem Chrystusa—głosić swoją prawdę jako rzeczywistą, a to, co sprzeciwia się tej prawdzie, jako kłamstwo. To jest jego obowiązkiem".

Czytamy w *Słowie*: „W czasach ostatnich zanotowano w prasie kilka przypadków „wpływania" na „wewnętrznych wrogów", dokonywanego przez rozmaite władze, a nawet przez duchowieństwo. Duszpasterze powstają z kazalnic cerkiewnych przeciwko agitatorom, burzącym naród oraz głoszą, że należy takich agitatorów wyławiać i oddawać w ręce władzom.

„Tego rodzaju akcya duchowieństwa nie jest pożądana, zwłaszcza na wsi, na głuchym partykularzu, wśród wiosek, gdzie słuchacze przejmują się bezkrytycznie każdem słowem kapłana. Duchowieństwo wzywa do tępienia ryczałtem „agitatorów" i „ludzi siejących wzburzenie", — kto jednak może zaręczyć, że naród nie porwie się na całą wogóle inteligencyę?

„W roku 1892 podczas grasowania cholery ktoś puścił w obieg wieść idyotyczną, że „Anglia („angliczanka") najęła lekarzy, aby truli naród rosyjski". I naród rzucił się tłuc lekarzy i rozwalać szpitale. Zapamiętajmy to sobie. Prosimy św. synod, aby zalecił duchowieństwu wysoką ostrożność w podżeganiu ciemnych mas ludowych".

W *Russk. Inwalidze* wydrukowano komunikat sztabu korpusu gwardyi, dotyczący się wypadków 24 stycznia: „Dnia 24 stycznia, na żądanie policyi, komenda składająca się z 50 ciu szeregowców i 2 ch oficerów, ze składu wojsk korpusu gwardyi, wezwaną została do Pasażu przy Newskim Prospekcie, celem ochrony tego Pasażu.

Tłum na Newskim Prospekcie tego wieczora wogóle zaburzeń nie urządzał; lecz odosobnione grupy, zatrzymując się przy Pasażu, zaczepiały żołnierzy, zestawiając wypadki na Dalekim Wschodzie z działalnością wojsk w Petersburgu. Gdy zaś kilku szeregowców wysunęło się z Pasażu, ażeby zmusić do rozejścia się zbiegowisko, ktoś z publiczności ciężko ranił jednego z nich pchnięciem noża w szyję.

Skutkiem tego zajścia, przybył do Pasażu komendant strzeleckiego pułku gwardyi przybocznej generał-major Sixelius.

Wysłuchawszy raportu naczelnika komendy o wszystkiem, co się stało, o szczegółach oburzającego napadu na szeregowca, komendant pułku miał już odjechać, gdy nagle podszedł do niego ktoś cywilny i rzekł: „Ja tu jestem zarządzającym i muszę oświadczyć, że żołnierze zachowywali się w sposób wyzywający i sami zawinili; proszę usunąć ich stąd".

Oznajmienie to, wypowiedziane w tonie nieodpowiednim i w obecności szeregowców, z których jeden dopiero co ucierpiał niewinnie z ręki złoczyńcy, zniewoliło komendanta zwrócić uwagę owemu cywilnemu na niewłaściwość jego interwencyi. Jak się potem pokazało, był to inżynier Kozłow. Gdy zaś inżynier podniesionym już tonem obstawał przy tem, co mówił, Sivelius zmuszony był kazać mu oddalić się z Pasażu, co rzeczywisty zarządca Pasażu potem stwierdził. Żadnych innych środków przymusowych celem usunięcia inżyniera Kozłowa z Pasażu nie przedsiębrano i nie wypowiedziano żadnych uwłaczających słów pod jego adresem".

Czytamy w *Birżewych wiedom.* (N. 8666): „Na posiedzeniu specyalnego komitetu ministrów w dniu 24-ym lutego, poświęconem wydarzeniom bieżącym, dotknięto również sprawy soboru ziemskiego. Zdaniem większości członków narady, niezwłoczne zwołanie soboru ziemskiego na zasadach odpowiednich rzeczywistym potrzebom nie jest możliwe, wobec wielu okoliczności, domagających się uprzedniego uregulowania. Wypowiedziano

też zdanie, iż możnaby wznowić projekt Sperańskiego utworzenia pochodzącej z wyborów „rady państwowej”, którąby liczyła nie więcej, jak kilkuset członków wszystkich kategoryj. Wszechstronne zbadanie sprawy soboru ziemskiego odłożono jednak na czas nieokreślony”.

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Wyjechali do Petersburga: Al. Świętochowski, Wł. hr. Tyszkiewicz, Józ. Natanson, l. Chrzanowski, St. Leszczyński, M. Pfeiffer, Paw. Sosnowski, Fr. Zieliński St. Kijeński z Warszawy, Adw. Staniszewski z Suwalk, Stan. Chełchowski z Płockiego, adw. Chrystowski z Łomży, St. Lewicki z Siedlec, Szym. Konarski z Radomskiego, br. Łoś z Kieleckiego, red. Mirosław Dobrzański z Piotrkowa, inż. Jan Arkuszewski z Łodzi, adw. Alfons Parczewski w Kalisza.

— Dowiadujemy się z *Warsz. Dn.*, że specyalny wydział walki z nędzą zamierza z osób, zatrzymanych za żebraninę a zdolnych do pracy, tworzyć kadry wyrobników miejskich.

— Istniejące w Warszawie chrześciańskie Tow. ochrony kobiet zwróciło się do zarządów wszystkich kolei tutejszych o pozwolenie umieszczenia na dworcach, stacyach i w wagonach ogłoszeń, ostrzegających a zarazem pouczających młode, podróżujące kobiety, jak sobie mają radzić w wypadku wstrętnych nagabywań.

— Zarządzający ministeryum skarbu zatwierdził ustawę Towarzystwa opieki nad dziećmi, których rodzice przebywają w więzieniu.

— *Warsz. Dn.* zawiadamia, iż zatwierdzoną została ustawa towarzystwa opieki nad dziećmi robotników górniczych, rzemieślniczych, fabrycznych i kolejowych, których ojcowie zginęli w wojniej rosyjsko-japońskiej.

— *Frank. Zeit.* donosi, że minister rolnictwa Jermołow zajęty jest opracowaniem projektu gruntownych reform.

— W *Dniu* moskiewskim czytamy: „Prof. Karejew, członkowie dumy petersburskiej Kiedrin i Sznitnikow, a także pięciu współpracowników *Naszej żizni* oraz dwaj współpracownicy *Naszych Dni*, jakkolwiek niedawno uwolnieni zostali od kary więziennej, będą jednakże oddani pod sąd za należenie do stowarzenia tajnego i za publikowanie literatury zakazanej.“

— Śród tutejszej ludności żydowskiej—pisze *Warsz. Dn.*—szerzy się agitacya w celu bojkotowania tramwajów. Pewien Żyd warszawski w liście do redakcyi gazety *Hacefe* zaznacza, że od ludności żydowskiej zarząd tramwajów czerpie przynajmniej połowę swych dochodów, a jednak nie dopuszcza Żydów w charakterze pracowników, chociaż w Odesie, Kijowie i nawet w Petersburgu Żydzi mogą być konduktorami, kontrolerami itp. Autor listu dowodzi, że dopuszczenie Żydów do służby tramwajowej dałoby zarządowi możność udzielania odpoczynku świątecznego pracownikom chrześcianom.

— Jeden z pisarzy rosyjskich, który pochodzi z włościańskiej rodziny i stale mieszka na wsi, przesłał do prezesa komitetu ministrów S. J. Wittego memoryał o stanie obecnym włościaństwa. Witte zainteresował się żywo tym memoryałem, napisanym z wielką znajomością rzeczy silnie i obrazowo, i zapragnął poznać się z jego autorem. Po dyspucie z pisarzem-wieśniakiem Witte zaproponował mu przyjęcie udziału w naradach komitetu. Autor memoryału nie przyjął propozycyi, tłomacząc się, że bawi w Petersburgu tylko chwilowo. (*Gaz. Handl.*).

—W *Warsz. Dn.* czytamy: „O g. 2 w nocy do przechodzącego przez ulicę Kaliksta kanoniera 9 bateryi 3 brygady artyleryi lejbgwardyi, Grzegorza Dubinina, podszedł student instytutu politechnicznego i, prosząc o zapałki, rozpoczął rozmowę, namawiając Dubinina, by niesłuchał Najjaśniejszego Pana i władzy, nie strzelał do tłumu podczas rozruchów ulicznych, przyczem opowiadał niebywałe rzeczy o klęskach na wojnie. Dubinin wyjąwszy szablę, zmusił studenta do wymienienia swego nazwiska, jako Aleksander syn Michała Wochnianin, i zażądał by udał się do dyżurnego oficera, następnie zaś studenta odesłano do ratusza. Dubinin za wierność obowiązkom służbowym prócz nagrody od swej zwierzchności, otrzymał od oberpolicmajstra zegarek z napisem.“

Szkoły i wychowanie. „Gubernator kaliski — czytamy w *Gaz. Kaliskiej* — po naradzie z zaproszonymi w tym celu obywatelami miasta Kalisza wysłał do kuratora warszawskiego okręgu naukowego depeszę następującej treści: „Sądzę, że dla uspokojenia miejscowej młodzieży polskiej i żydowskiej, koniecznem jest pozwolenie na nieuczęszczanie do czasu do zakładów szkolnych; zdania tego jest i społeczeństwo miejscowe. Proszę o decezyę waszej Ekscelencyi.“ Na depeszę tę nadeszła odpowiedź następującej treści: „Nie nie mam przeciwko proponowanym środkom.

Szwarc.

— Pani Hrymieniecka otrzymała zezwolenie od ministeryum spraw wewnętrznych na założenie kursów muzykalno-dramatycznych w Warszawie z programem, obejmującym śpiew solowy i sztukę dramatyczną, teoryę muzyki, gry na fortepianie, język włoski, historyę muzyki, estetykę i historyę sztuki, ćwiczenia operowe, historyę teatru, charakteryzacyę, mimikę, plastykę, taniec, ćwiczenia sceniczne i śpiew chóralny.

— Zarząd kolei nadwiślańskich zamierzał otworzyć w r. b. dwie nowe szkoły dla dzieci urzędników kolejowych: w Lublinie i Radomiu. Jednakże projekt został odłożony do roku 1906.— W r. b. zarząd kolei wyznaczył na utrzymanie szkoły w Mławie 3,388 rubli, na Nowym Brudnie 3,371 rubli, w Chełmie 2,330 rubli, w Ostrołęce 3,800 rubli, w Skarzysku 2.855 rubli, w Strzemieszycach 2,630 rubli, w Iwangrodzie 2,900 rubli i w Brześciu 2,100 rubli. Oprócz tego wyznaczono zapomogi dwom przytułkom na Nowej Pradze 750 rb., czytelni w Iwangrodzie 350 rb., warszawskiemu Tow. dobroczynności 300 rb., ochronkom na Piaskach w Lublinie 300, i dla dwóch szkół miejskich w Radomiu 1,050 rb., nadto zarząd przeznaczył 2,100 rb. na 14 stypendyów w szkole technicznej w Chełmie.

— Seminaryum nauczycielskie w Łęczycy zamknięto na czas nieograniczony. Uczniowie, w znacznej liczbie synowie włościan, rozjechali się do domów.

— Inspekcya okręgowa szkół ministeryum skarbu otrzymała podpisane przez wice-ministra skarbu rozporządzenie, ażeby przerwane wykłady zostały wznowione z dniem 1 marca.

Literatura, sztuka i prasa. *Słowo* (rosyjskie) donosi, że komisya pod przewodnictwem Kobeki uznała potrzebę wolności prasy tylko dla wydawnictw w języku rosyjskiem.

— W sprawie prasy polskiej redakcya *Prawdy*, otrzymała następujący telegram: „Grupa Polaków zamieszkałych w Irkucku, śle redakcyom pism warszawskich wyrazy szczerego uznania za ich wystąpienie w sprawie prasy polskiej“. Podpisani: Zalewski, Kiesewetterowie, Tyszewiczowie, Dubinscy, Woszczerowicza, Wolman, Gasztowttowie, Piotrowicz, Gruździowie, Dąbrowski, Różga, Kulikowski, Gawdzik. Salmierscy, Rościszewski, Morgulcowie, Konopnicki, Smolski, Brzozowski, Jabłoński, Henigman, Korbutt, Szumkowski, Broniewski, Krzyczkowski, Kozicki, Jagodziński, Rechniewscy Tadeusz i Witold, Womda, Tempowscy, Łagowski, Jachimowicz, Pogorzelski, Jodkowski, Danilowicz, Michał Justyn Wołk.

— W lokalu Kasy literackiej odbyła się narada warszawskich autorów dramatycznych, na której uchwalono: 1) Wysłać do prezesa komisyi dla spraw prasowych, tajnego radcy stanu, Kobeki, depeszę w sprawie cenzury utworów dramatycznych. Depesza brzmi: „Niżej podpisani polscy autorowie dramatyczni uważają za niezbędne zwrócić W. Eks. uwagę na potrzebę zmiany warszawskich stosunków cenzuralnych w zakresie sztuk dramatycznych polskich.“ 2) Poczynić starania w celu założenia związku polskich autorów dramatycznych w Warszawie.

— Z dniem 15 b. m, upływa termin nadsyłania prac malarskich i rzeźbiarskich na konkurs imienia J. Kuryerowa ogłoszony przez Tow. zachęty. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 19 b. m.

— Pomimo zastoju ekonomicznego dochody Tow. sztuk pięknych w roku ubiegłym pokryły w całości wydatki, dając nawet niewielką przewyżkę na rok bieżący.

Wypadki. Piękny, zawierający cenną bibliotekę i dużo pamiątek historycznych pałac hr. Branickich w Suchej pod Krakowem, został zniszczony przez pożar. Biblioteka ocalała.

— W szybie „Oskar“ koło Piotrkowic na Śląsku 13 robotników utraciło życie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani A. R. Z nadesłanego nam tłomaczenia korzystać nie możemy.

OFIARY.

Dla głodnych.

Wacław Rokossowski z Olchowca na Podolu rb. 26.

SPROSTOWANIE. Str. 78, szp. 3, w. 16 od dołu, przepuszczono wyrazy podkreślone; zdanie brzmieć powino: „izby niższe są dzisiaj wprawdzie bardzo dalekiemi od tego, żeby być przedstawicielkami *pracy ale izby wyższe są z pewnością przedstawicielkami* kapitału.

Od Administracyi.

Szan. Abonentów, miejskich którzy nie odbierają numeru w sobotę lub niedzielę, prosimy zawiadomić o tem Administracyę pisma, Sadowa 14.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 24 Февраля 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.